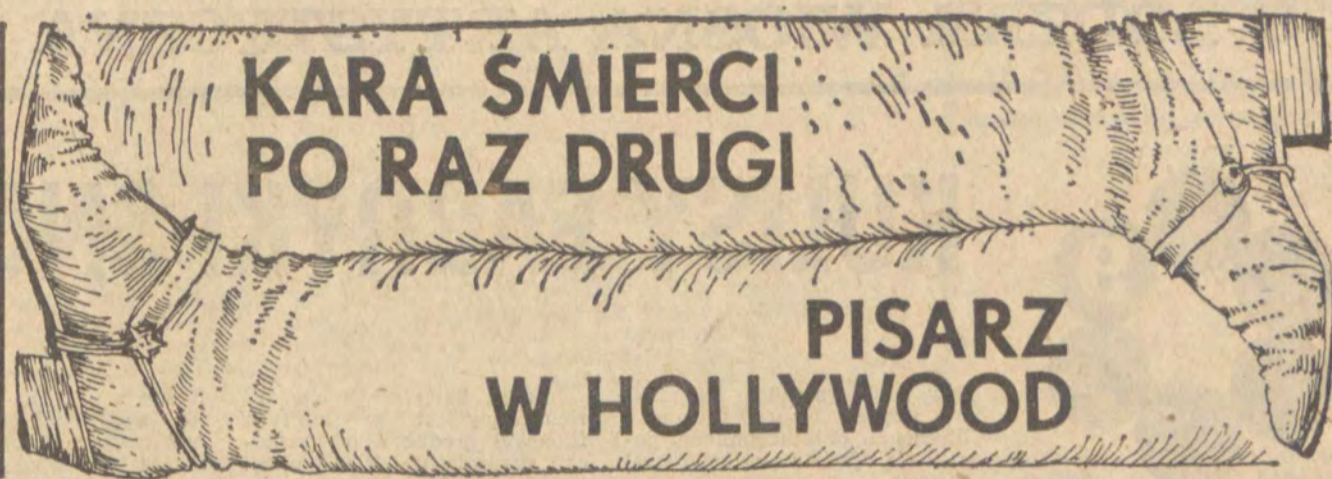


ZDOBYCIE REICHSTAGU

str. 3

KARA ŚMIERCI PO RAZ DRUGI

PISARZ W HOLLYWOOD



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

8 MAJA 1977 R.
ROK XX NR 19 (1013)
CENA 3 ZŁ



PRZYJAŹŃ

JERZY WAWRZAK

DNI LITERATURY POLSKIEJ NA UKRAINIE

Trwały osiem dni (i po części nocy) od 18 do 25 kwietnia. Nazwane oficjalnie Dniami Literatury Polskiej na Ukrainie przekształciły się z dobrej woli Gospodarzy w wielki festiwal literatury i sztuki polskiej, z udziałem tysięcy widzów i słuchaczy, uczestników setek imprez, spotkań literackich, pokazów filmowych, koncertów, wystaw książki i fotografii. Towarzyszyła im wszędzie wspaniała atmosfera, niezwykła gościnność, sympatia i szacunek dla tradycji i współczesnych osiągnięć kultury polskiej.

Stały się także Dni Literatury Polskiej wielką imprezą polityczną, gorącą i szczerą manifestacją przyjaźni polsko-radzieckiej, możliwością złożenia wspólnego hołdu Wielkiemu Leninowi w związku z 107 rocznicą urodzin i kolejnym potwierdzeniem trwałości i nienaruszalności układu między Polską i ZSRR zawartego w kwietniu przed 32 laty.

O przebiegu „Dni” obszerną informację przekazywały Telewizja Polska i „Trybuna Ludu”. Na tym miejscu chciałbym, jako jeden z dziennikarzy towarzyszących delegacji, tamte informacje „uzupełnić” o niektóre szczegóły i kilka osobistych refleksji, jakie w tym natłoku wrażeń udało mi się na gorąco zanotować.

Dalszy ciąg na str. 6

ŻYCIE SPOŁECZNE



MY I ONI

ZBIGNIEW S. NOWAK

Osiedle „Wielkopolska — A” powstało 12 lat temu; aktualnie liczy ok. 13 tys. mieszkańców. Jego granice mniej więcej wyznaczają ulice: Helska, Swojska, Pułaskiego, odcinki Letniej, Turowskiej, Woronicza, Brukowej, torowiska dworca kolejowego „Łódź-Zabieniec” z przyległościami, wiadukt nad torami łączący ulice Limanowskiego i Aleksandrowską oraz fragment rzeczki, którą okoliczni mieszkańcy zowią „Bałutka — Smródka”.

Zabudowa mieszana: wielkopłytowe „mrówkowce”, starsze bloki z przyzwolonej cegły, dawne masywne czynszówki, kilka domków jednorodzinnych; całość uzupełnia iles tam jeszcze pokracznych budynków i

innych szopek niewiadomego pochodzenia i przeznaczenia.

Infrastrukturę instytucjonalno-usługową tworzą: 2 szkoły podstawowe nr 56 i 184, żłobek (100 miejsc), 2 przedszkola (razem 200 miejsc),

przychodnia lekarska, 6 sklepów spożywczych, w tym „delikatesy”, 2; apteka, 2 mięsne sklepy, wielobranżowy pawilon handlowy „Swit”, kilka różnych punktów usługowych, kiosk od rurek z kremem, warzywniak, niekiedy kielbaski na gorąco, parę kiosków „Ruchu” najczęściej bez prasy, bardzo nowoczesne kino „Iwanowo” no i słynna na całą okolicę „Wielkopolanek” z kawiarnią, barem i „chmielem” do woli. Przystanków tramwajowych i autobusowych nie liczę, bo nigdy nie wiadomo, ile ich

akurat jest i gdzie się aktualnie znajdują.

REKONESANS

Na pierwszy rzut oka osiedle jakich wiele, choć po prawdzie na pierwszy rzut oka niewiele udało mi się dojrzeć, bo wiosenny wiatr dokładnie zasypał mi oczy pozostałym Jeszcze z zimy brudnym piaskiem. Świadczyło to nie najlepiej o miejscowych gospodarzach domów, podobnie jak i fruujące między blokami papierzyśka, porozrzucane tu i ówdzie kawały gruzu, wysypujące się z pergoli śmieci oraz inne „ciekawostki”. Oczywiście nie wszędzie tak było; znalazłem kilka nawet „posesji” utrzymanych we względnie porządku, gdzie znać było troskliwą rękę gospodarza.

— To są wyjątki raczej — poinformowali mnie mieszkańcy jednego z bloków. — Najczęściej dozorecy wykonują tylko coś w rodzaju czynów społecznych przy jakichś szczególnych okazjach. Poza tym lepiej nie mówić...

— My na przykład sami sprzątam nasze klatki schodowe, bo na dozorec nie bardzo można liczyć...

— To nie są w ogóle gospodarze domów w przedwojennym stylu, ale przypadkowi ludzie, którym chodziło jedynie o mieszkanie. Trafiają się porządni, ale to rzadko...

— Interweniowaliśmy u naszych władz administracyjnych, lecz to z reguły nic nie daje. Nawet jak zwolnią jakiego obiboka, to na jego miejsce przychodzi taki sam...

W kilku miejscach spotkałem zaparkowane na trawnikach prywatne samochody; czar czterech kółek wyraźnie szkodził ledwie wyrosłej zieleni.

— Pan na to pozwala? — zagadnąłem pewnego „gospodarza”.

— A co mam robić? Ten „fiat” na przykład to jednego dyrektora. Niechbym tylko mu coś powiedział, no... A ja, panie, mam żonę i dzieci... — warknął refleksyjnie „gospodarz” i poszedł na „fuchę” zmienić zamki u drzwi „jednemu dyrektorowi”. Samo życie...

— Tu się sprowadziło dużo ludzi ze wsi — wyjaśniła sympatyczna staruszka — i w tym jest problem. Oni jeszcze zbyt krótko mieszkają w mieście, gdzie tylko mury naokoło, a każdy kawałek ziemi ukamienowany czy zabetonowany, to i nie potrafią docenić, tak jak my, „aż-dego skrawka trawy, drzewa, kwiatka...”

Sporo chyba w tym prawdy, choć z pewnością i niejedni mieszkańcy nie jest tu bez grzechu.

— Wieczorami na osiedlu nie jest zbyt przyjemnie. Nie wszędzie jest wystarczające oświetlenie, albo lampy się nie palą, bo od dawna zepsute i nie ma kto tego naprawić. Kiedy po deszczu robi się błoto dookoła, łatwo po ciemku wpaść w brudną kałużę. Takie „atrakcje” nie są miłe...

Dalszy ciąg na str. 8



KULISY FABRYKI SNÓW

rów dostrzega pełnię ich piękna. Dopiero wyprzeżone z otoczenia, unieruchomione, pozwalają ujrzeć się w całej swej urodzie.

Jako jeden z elementów wystawy wprowadzone zostały kadry z filmów. Dzięki nim można dostrzec i uzmysłowić sobie rolę jaką przedmioty i detale spełniają w budowaniu obrazu filmowego.

Mówi się o kinie, że jest fabryką snów. Wystawa potwierdza to mniemanie. Dzięki niej można przekonać się jak dalece film umie stworzyć wrażenie autentyczności, jak najroźniejsze tworzywa — zarówno sztuczne i naturalne — zastępują inne, jak można stworzyć niemal wszystko, od sztucznego muru po szron na szybach. Każda fabryka, także i ta od snów, ma swoje prawa. Film zrealizowany jest produktem końcowym i ostatecznym, a wszystko, co składało się na jego powstanie traci nagłe swą użytkową funkcję i staje się przedmiotem bardzo pięknym, nieraz, ale w jakiejś mierze bezużytecznym. Wydobycie go z mroków magazynów na światło dzienne i wyeksponowanie nadaje mu wartości dodatkowych, nobilituje go, czyni zeń obiekt doznań estetycznych. Dopóki jednak tkwi on w zakamarkach rekwizytorni jest martwy, by nie rzec skazany na zagładę.

Nikogo, kto choć trochę zorientowany jest w kulisach filmowej produkcji nie zaskoczy stwierdzenie, iż stanowi już głęboką historię to wszystko, co składało się na nią przed 25 czy 30 laty.

Stwierdzenie owo odnosi się w równej mierze do estetyki filmowej co i do techniki. Naturalnie pod pojęciem techniki rozumianym raczej całością czynników umożliwiających powstanie filmu, a więc obok kamery, taśmy, oświetlenia, także dekoracje i kostiumy. Dlatego też projekty scenografii do „Młodości Chopina”, dzieła Romana Manna, które oglądać można na wystawie, pochodzące z 1951 r. unać można za wykopaliśkowe niemal.

Nawiasem mówiąc dla ponad 130 aktorów i półtora tysiąca statystów biorących udział w filmie uszyto około dwóch tysięcy kostiumów. Z pewnością nie jest możliwe i zapewne niecelowe przechowywanie tak wielkiej ilości rekwizytów, jednakże byłoby dobrze, gdyby przetrwały przynajmniej ich resztki. Ale nawet zachowane projekty pozwalają zerknąć się z materiału i atmosfery filmu, którego premiera odbyła się dokładnie przed dwudziestu pięciu laty (w marcu 1952 roku).

Wystawa grupuje na dużej powierzchni setki eksponatów.

Każdy z nich ma swoją historię, każdy miał swój udział w powstawaniu dzieła filmowego. Nawet jeśli w końcowym efekcie pozostaje on w cieniu innych składników obrazu filmowego, to przecież obraz ten nie jest niczym innym jak właśnie owych składników sumą. Osobna uwaga należy się zgrupomowanym na wystawie eksponatom ilustrującym powstawanie filmu animowanego. Każda z wytwórni przedstawia swoje najciekawsze dokonania. Najwięcej eksponatów ilustruje pracę najstarszej polskiej wytwórni filmów animowanych — „SeMaFora”. Zgrupomowano tu projekty scenografii, rysunki i szkice, kadry z filmów. Pokazano nawet chronologiczny proces powstawania filmu: od scenopisu po rozrysowane na celuloidowych płytkach kolejne fazy ruchu postaci. Nie mogło zabraknąć i nie zabrakło naturalnie bohaterów filmów kukiełkowych. Wśród wielu postaci rysowanych znajdują się również laleczki — bohaterowie licznych filmów, od filmów Zenona Wasilewskiego poczynając.

Wystawa jest być może jedynym miejscem gdzie mogą spotkać się Miś Colargol i król z filmu „Za króla Krakusa”.

Integralną częścią działu poświęconego plastyce filmu animowanego jest rekonstrukcja

planów zdjęciowych. Dzięki nim mogą przekonać się widzowie jak robi się morze i niebo, jak umieszczeni są bohaterowie takich filmów.

Uzupełnieniem działu filmów animowanych jest ekspozycja książek traktujących o filmie animowanym. Przy okazji oglądania owych publikacji nasunąć się może pewna refleksja: otóż wśród zgromadzonych książek, a jest ich sporo, nie ma ani jednej w języku polskim. Jest to o tyle zastanawiające, że żyjemy przecież w kraju, który w dziedzinie animacji filmowej zajmuje jedno z czołowych miejsc w świecie.

Myślę, że stało się już dobrą tradycją organizowanie w Łodzi wystaw o tematyce filmowej. W ciągu ostatnich lat było ich kilkanaście. Świadczy o tym jedna z stron o prężności środowiska filmowego w mieście, a powódzenie jakim się cieszyły u publiczności jest znakomitym miernikiem zapotrzebowania na tę formę kontaktu ze sztuką filmową. Jest to wprawdzie kontakt pośredni, jednakże pozwala on w jakiś sposób przybliżyć proces powstawania filmu, a tym samym czyni zwykłym to, po jawi się z reguły w aurze jeśli nie tajemniczości to co najmniej niezwykłości. Pozwala po prostu spojrzeć na film od strony kulis, gdzie obok gwiazd, wspaniałych dekoracji i strojów jest także ciężka praca i wysiłek, tych, którzy wnoszą dekoracje i szyją kostiumy.

Wystawa jest w jakiejś mierze i ich dziełem.

MIECZYSLAW KUŹMICKI

NOWI CZŁONKOWIE ZLP

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich na posiedzeniu w dniu 29 ub. m. przyjął w poczet członków: Dorotę Chrościelewską — poetkę i eseistkę, pracownika naukowego UL, Mirosława Kuźniaka — poetę i dziennikarza, pracownika redakcji literackiej Łódzkiej Rozgłośni PR, Jerzego Rzymowskiego — krytyka, pracownika naukowego UL, członka redakcji „Odgłosy” oraz Ziemowita Skibińskiego — poetę i krytyka, pracownika naukowego Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.

ZŁOTY JUBILEUSZ WIELUŃSKIEGO MUZEUM

Przed 50 laty w Wieluniu otwarto Muzeum Regionalne. Była to jedna z nielicznych tego typu placówek w dawnym woj. łódzkim. Początkowo Muzeum mieściło się w dwóch skromnych pokojach lecz z biegiem czasu wzbogaciło się o cenne eksponaty przekazywane zwłaszcza przez mieszkańców. W okresie wojny placówka została zamknięta, a zbiory zniszczone. Obecne Muzeum mieści się w budynku specjalnie przystosowanym do zbiorów, liczących blisko 7 tys. eksponatów. Oprócz stałych wystaw ukazujących przeszłość Wielunia i regionu Muzeum prowadzi badania etnograficzne.

ŁODZIANKA LAUREATKA

Przed kilku dniami zakończył się w Toruniu ogólnopolski konkurs kraśmowczy studentów uniwersyteckich wydziałów prawa i administracji. Pierwsze miejsce i nagrodę za najlepszą argumentację prawną zdobyła Małgorzata Pzyżak z Uniwersytetu Łódzkiego.

WYSTAWA OBRAZÓW K. MACKIEWICZA

Z okazji 60-lecia pracy twórczej Konstantego Mackiewicza otwartą została w galerii w parku Sienkiewicza wielka ekspozycja obrazów wybitnego artysty. Wystawa obrazuje przekrój dotychczasowego dorobku K. Mackiewicza. Ekspozycyjnych na niej jest 140 prac, z których najwcześniejsze pochodzą z 1914 r. Dzieła mistrza zostały wypożyczone ze zbiorów muzealnych prawie całego kraju.

CENNY DAR DLA MUZEUM LITERATURY

Stefania Tuwimowa, wdowa po Julianie Tuwimie, działająca także w imieniu córki Ewy, podpisała akt darowizny dla Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Muzeum to otrzymało archiwum literackie poety, jego bibliotekę, zawierającą 5 tys. tomów i pamiętki osobiste. Wśród licznych rękopisów znajdują się m. in. nie drukowane wiersze młodzieńcze Juliana Tuwima oraz rękopis poematu „Kwiaty polskie”. Zbiory te znajdowały się w Muzeum Literatury od 1962 r. jako depozyt i są eksponowane w osobnym gabinecie.

I ZNÓW „JEZIORO”...

Trudno w to dziś, równo po stu latach, uwierzyć, że, przy wykonaniu tego tak późnie sławnego baletu poniosło drugą część, muzykę napisał przecież, uznany już wówczas 37-letni kompozytor, a jednak jednym ze sprawców niepowodzenia była właśnie muzyka — zbyt bogata i absorbująca widza, przywołująca w balecie tylko do rytmicznego i mniej czy bardziej melodyjnego akompaniamentu. O pierwotnej współpracy choreografii świadczy pośrednio sukces wznowienia baletu w 1955 r., w choreograficznym układzie Petipy Iwanowa. Od tego czasu, przy zasadniczo niezmienianym kształcie choreograficznym, „Jezioro łabędzie” Piotra Czajkowskiego święci nieprzerwane triumfy.

Jest to zresztą balet trudny pod względem problemów technicznych i artystycznych, następujących się solistom i całemu zespołowi, jak również... niektórym orkiestrom. Wprawdzie potrzeba o tym wiedzieć dla właściwej oceny kolejnych wznowień tego dzieła, niedobrze jednak, kiedy to się samo narzuca w czasie przedstawienia. A właśnie obecne łódzkie wznowienie nie pozwalało widzowi, znającemu zwłaszcza inne realizacje, o tych trudnościach zapomnieć, (piszę to jedynie na podstawie pierwszego, sobotniego przedstawienia).

Poprzedniemu opracowaniu choreograficznemu Witolda Borkowskiego zarzucano, a w każdym razie wypomina mu się dziś, że niektóre rozwiązania zbyt odstępowały od uświęconej tradycji, co miało mieć taki skutek, że niemożliwe stało się angażowanie solistów na gościnne występy. Podobno też akty „kolorowe” (I i III) niedostatecznie kontrastowały w wyrazie z „białymi” (II i IV), co jakże trudno po latach odwrócić sobie w zawodnej pamięci. Tak czy inaczej, dobrym prawem realizatorów jest szukanie nowych pomysłów i środków wyrazu, toteż wydaje mi się, że obu paniom, które się obecnie nowego „postawienia” baletu podjęły: Barbara Kasprowicz (akty „białe”), Pas de trois w akcie I i Pas de deux w III)

oraz Janina Niesobka (akty „kolorowe”) nie można nic pod tym względem zarzucić. Podobnie — kierownikowi muzycznemu, Tadeuszowi Kozłowskiemu, interpretującemu muzykę logicznie i przejrzyście. Gorzej było chyba ze scenografią, zbyt konwencjonalnie operową w aktach „kolorowych”, gdzie zresztą bardzo strojne kostiumy niekiedy jakby zacięrały wyraz tanecznych ruchów.

Jako całość przedstawienie okazało się nierówne. W Walcu aktu I niektórzy balowi goście tańczyli niezbyt precyzyjnie i nieraz zastygali w pozach sztywnych, pełnych napiętego wyczekiwania na sygnał muzyki, że już można ruch wznowić. Odnosiłem wrażenie, że muzyka dla części naszych tancerzy nie jest źródłem inspiracji do znajdowania właściwej ekspresji ruchu i gestu. Zresztą mimo sprawnej batuty dyrygenta, czujnego na to, co w partyturze i na scenie, trochę za dużo było w orkiestrze rozmaitych „niedoróbek” w różnych grupach instrumentów i nawet w partiach solowych, z chlubnym wyjątkiem harfy — Barbara Ryder-Wilkowska, wiolonczeli — Jerzy Szczerba i obaju — Zdzisław Kaczmarek.

Najjaśniejszym momentem I aktu było chyba Pas de trois, w którym zwracała na siebie uwagę lekkością tańca i wdziękiem Anna Fronczek, niepotrzebnie „ukrywająca się” pod nazwiskiem (mężowskim?) Lewandowskiej. Ale również, kończący akt, swobodny i płynny Polonez pozwalał mieć nadzieję, że wszystko już pójdzie gładko.

Akt II, który decyduje o całości wyniesionych wrażeń, nasycony liryzmem muzyki, był jednak w nastroju chłodny, choć trzeba oddać sprawiedliwość solidnie przygotowanej Halinie Kowalskiej, która przy doskonałym partnerowaniu Kazimierza Wrzosa wyszła całkowicie obronna ręką z „wielkiego” Pas de deux. Tancerka odnalazła siebie dopiero w solowych wariacjach Odety. Ożywiły też nastrój Cztery Małe Łabędzie, tańczące z dużą precyzją, którym jednak pod koniec kazano z przesadną dy-

namiką odrzucać w bok głowy, co zatarło początkową zwięzłość, podpowiadaną przez muzykę.

Duże pole do popisu dał kilku parom solistów akt III, stanowiący w znacznej części Divertissement, złożone z tańców narodowych: hiszpańskiego (Danuta Puzanowska, Marek Skuratowicz), neapolitańskiego (Leandra Jasińska, Zdzisław Lis), węgierskiego (Michalina Makowska, Zygmunta Galech) wreszcie polskiego — dość młodego, jak na mój gust, w swoim wyrazie. Dopiero w tym akcie największą precyzję i sprawność oraz siłę ekspresji osiągnęła Kowalska jako Odylia i zabłysnął wszystkimi swoimi umiejętnościami Kazimierz Wrzosek.

Do wyróżniających się reakcji w przekroju całego baletu zaliczyłbym ponadto — w rozdowianej partii Rotbarta — Kazimierza Knolla oraz w roli Błazna, raczej smutnego niż śmiesznego, Zbigniewa Sobisa. Z godnością i dystynkcją nosiła koronę Księżnej Barbara Leleniewska.

Nie było wolno to premierowe „Jezioro” od usterek i uchybień, może i od istotniejszych nieporozumień artystycznych, niemniej jednak wzięta publiczność poddawała się urokowi tego wybitnego dzieła, które powinno pozostawać w repertuarze stającego się teatru operowo-baletowego, m. in. ze względu na zespół, który — poddawany tak surowemu sprawdzianowi — uzyskuje najlepszą szansę doskonalenia swoich umiejętności.

Ale co do orkiestry, to chyba przydałoby się wzmocnienie jej przez kilku dobrych instrumentalistów.

JERZY KWIECIŃSKI

Piotr Czajkowski: „Jezioro łabędzie”. Balet w czterech aktach. Libretto: W. Biegiewicz, W. Geleer. Kierownictwo muzyczne — Tadeusz Kozłowski, inscenizacja i choreografia — Barbara Kasprowicz, Janina Niesobka, scenografia — Halina Korytowska. Premiera 23 kwietnia w Teatrze Wielkim w Łodzi.

WAŁAW BILIŃSKI LAUREATEM

W tym roku przyznano już nagrodę literacką CRZZ. Otrzymali ją: znany łódzki literat Waław Biliński, b. redaktor naczelny „Odgłosów” za książkę pt. „Wypadek”, wydana przez wydawnictwo „Książka i Wiedza” oraz Andrzej Twardochleb za książkę „Trzecia runda”, wydana przez „Czytelnika”.

Powieść Waława Bilińskiego otrzymała także III nagrodę w konkursie literackim ogłoszonym — z okazji 30-lecia PRL. Ukazuje ona konfrontację postaw dwóch pokoleń działaczy gospodarczych, oddanych swojej trudnej i odpowiedzialnej pracy, nie pozbawionych jednak rozterek i konfliktów moralnych.

Przyznano również wyróżnienia: Piotrowi Bednarskiemu za tom opowiadań „Kropie soli” oraz Stanisławowi Adamczykowi za zbiór pamiętników pt. „Życie bez fikcji”.

PIERWSZY ŁÓDZKI PRZEGLĄD FILMÓW STOMATOLOGICZNYCH

Przy wielkiej frekwencji i ogromnym zainteresowaniu zaproszonych gości oraz widzów odbył się I Łódzki Przegląd Filmów Stomatologicznych.

O znaczeniu tej imprezy dla przyszłych stomatologów, do których głównie była adresowana, nie będziemy pisać, jest ona oczywista. Wystarczy przypomnieć, że film w leczeniu zębów jest szczególnie pożądanym, stwarza bowiem ogromne możliwości postępowania diagnostycznego, profilaktycznego i leczniczego w małym polu operacyjnym, jakim jest jama ustna.

Idea organizowania imprezy tego typu narodziła się już dawno w Łodzi. Projektodawcami jej byli studenci.

Ośrodek Łódzki Polskiego Stowarzyszenia Stomatologicz-

nego, aby zrealizować postulaty postanowił wykorzystać powstałe już i powstające filmy we wszystkich ośrodkach akademickich do szerszej popularyzacji.

Przebieg Filmów Stomatologicznych jest impreza o zasięgu ogólnopolskim. Do tegorocznej zakwalifikowano 10 filmów.

I nagrodę uzyskał film — „Protezy szkieletowe” dr E. Rożyńskiej.

II film „Kształtowanie ubytków zębów do wypełnień amalgamatem” — dr T. Daszkiewicz.

III film — „Odciecie wierzchołka korzenia zęba” dr T. Daszkiewicz.

Nagrodę publiczności otrzymał film, który zajął drugie miejsce w klasyfikacji jury „Kształtowanie ubytków zębów do wypełnień amalgamatem”.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŹDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, [sekretarz redakcji]. Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI — GLANC.

DRUGA ŚWIATOWA

Autor tych zbeletryzowanych wspomnień Wasylj Subbotin, urodzony w r. 1921, odbywał służbę w pułku czołgów, kiedy zaczęła się wojna. W 1943 został korespondentem dywizyjnej gazety i w tym charakterze brał udział w walkach nad Bałtykiem, w Polsce, w bitwie o Berlin. 150 — to dywizja strzelców, zwana później Berlińską, w której szeregach znajdował się pisarz, zdobywała gmach Reichstagu. Jest on autorem książki prozatorskiej „Jak kończą się wojny” oraz zbiorów wierszy „Heroiczna ballada”, „Czołgi w trawie”, „Żywa pamięć” w których spotykał swe doświadczenia frontowe.

Wspomnienia drukowane na tej kolumnie powstały w roku 1960 i chyba dlatego autor dał im tytuł „Opowiadania lat sześćdziesiątych”. Przynoszą mało znane fakty o zdobyciu Reichstagu i już choćby dlatego zainteresują polskiego czytelnika. Tytuł całości pochodzi od redakcji.

Szary budynek

Kiedy nastąpił świt, wszyscy znaleźli się w domu Himmlera, podchodzili do okien z nadzieją, że ujrzą Reichstag. Ale nie nie zobaczyli: przeskądzała jakaś budowa.

Za parapetu spoglądał także Nieustrojew (W piwnicy okno znajdowało się wysoko). Zobaczył niewiele. Na prawo — parkowe drzewa jeszcze ogołcone, ciemne. Z lewej widoczny był rów. Jeszcze nie całkiem rozwiała się mgła. Z dachów kapania... Nieustrojew dostrzegł i ten czworokątny, niewysoki budynek, także zastłony drzewami. Wydał mu się zupełnie nieduży. Co prawda, zwieńczony był kopułą i miał po bokach wieże, ale niczym szczególnym się nie wyróżniał.

Zołnierze, którzy się tutaj także skupili, byli zafasowani. Tam, gdzie spodziewali się zobaczyć Reichstag, Reichstagu nie było. Ale drugi dowódca batalionu — Dawydow — powiedział, że z piwnicy widoczność jest słaba i powiódł oficerów na górę. Rozejrzeć się. Tam stanie się dla nich jaśniejsze, jak postępować dalej.

Wspięli się o dwa pietra wyżej i stali, ukryci za framugą. Od Sprewy pełza jeszcze mgła. Prześnięty wilgocią park był pusty. I było cicho. I tutaj zobaczyli to, w czym się nie mogli rozpoznać wcześniej — dostrzegli, że cały plac zryty jest tranzejami... Zobaczyli na rogach przeciwpancerne pokrywy, czołgi. W głębi parku — samobieżne pancerne działa. Słup ogłoszeniowy. Jeszcze jakaś konstrukcja, podobna do budki transformatorowej, zapewne umocniona. Oprócz rowu, w przodzie był jeszcze, napełniony wodą kanał. I ten budynek z wieżyczkami wyglądał, stąd, z wysokości, imponująco, inaczej niż z piwnicy, kiedy parter był zasłonięty...

Przybył łącznik. Wzywano Nieustrojewa. Dowódca dywizji Szatlow dopytywał się, dlaczego nie atakują.

— Towarzyszu „siedemdziesiąt siedem”! Przeskądza szary budynek.

— Zaraz, poczekaj... Jaki budynek?

— Wprost przed nami? Będę obchodził z prawej.

Nieustrojew, leżący w rogu piwnicy przy telefonie i dowódca dywizji u siebie na PO, pochylił się nad mapami...

Przyszedł dowódca pułku. Zniczenko. Ulokował swój sztab za rzeką — obok ambasady szwajcarskiej.

— Co ci przeskądza? Dawaj mapę. — Mierzyl i oceniali. Most Moltkego... Szprewa... Dom Himmlera... — Nieustrojew! Przecież to — Reichstag!

Nawet nie przyszło mu do głowy, że ten czworokątny szary budynek, ten dom przed oknami (tak do niego blisko), jest właśnie tym Reichstagiem, do którego zdążył. A zdawało mu się, że do Reichstagu trzeba jeszcze iść i iść.

Nad jego kanciastą kopułą była platforma, a na niej — iglica. Przed fasadą — gęste, gotowe już za chwilę rozwinąć się drzewa — nie polamane i nie popalone.

Ale widzieli to tylko nieliczni i tylko wczesnym rankiem. Po godzinie rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie, Reichstag był ostrzeliwany przez „katusze” i działa — dalekiego zasięgu i strzelające bezpośrednio, i momentalnie stał się tym Reichstagiem, który znamy wszyscy z fotografii opublikowanych po wojnie.

Nieliczni wiedzą...

Nieliczni wiedzą: po tym, jak zatkneliśmy sztandar na Reichstagu, walki we wnętrzu trwały jeszcze przez dwa dni i dwie noce.

Półtora tysiąca Niemców, przetrzonych tutaj już w dniach szturmów Berlina nad Bałtyku, zostało w piwnicach Reichstagu. Zarzucili nas pociskami z panceraustów. Mieli w piwnicach ogromną ilość tej silnej broni rakietowej. Ale kiedy stało się jasne, że nie uda im się odbić Reichstagu, podpalili go. A może nawet sam się zapalił od tych pocisków.

„Pułkownik” Berest

Z czeluści piwnicy wysunęła się nagle biała flaga.

Na schodach, na dolnej platformie, pojawił się oficer. Rozpięty płaszcz, w ręce — pistolet. Powiadomił, że niemieckie dowództwo gotowe jest rozpocząć rokowania. Ale z oficerem wysokiej rangi.

Na schody poszedł do Niemców Berest...

Berest był zastępcą do spraw politycznych dowódcy batalionu. Lejt-nant. Ale posiadał nawet ten stopień dopiero od paru dni: rozkaz nadziedził, kiedy wchodziliśmy do Berlina. Niemal do wczoraj Berest był chorążym. Ale już kilka miesięcy pracował jako zastępca Nieustrojewa... Tyle, że nie wiadomo, jak nastąpiło między nimi „zgranie”, były to jednak zbyt różne, mocne i twarde charaktery.

Aleksy Berest miał dwadzieścia... Wszystkiego dwadzieścia lat. Jeszcze niedawno był komsomolcem. I to on właśnie poszedł.

Samo przez się wybór padł na niego. Możliwe nawet, Berest powiedział, że on pójdzie.

Zołnierz połał mu z manierki, zmył sobie sadzę z twarzy. Zawsze miał rzucający się w oczy, akuratywny wygląd. Nawet po tych dwóch nocach bielilo się u niego pasemko przypisanego koinierzyka. Wczoraj, na pla-

ni Nieustrojew wydawał się maleńkim). Gdy Berest zwracał się do niego, dowódca batalionu gorliwie trząskając obcasami...

— Proponuję wam poddać się! — powiedział Berest do Niemców. — Znajdujecie się w piwnicach. Wasze położenie jest beznadziejne...

— Ale tamci odpowiedzieli: — Jeszcze nie wiadomo, kto kogo wzięł do niewoli. Jest was tutaj za ledwie trzystu. Kiedy atakowaliśmy — robiliśmy podsumowanie. Mamy dziesięciokrotnie większe sily.

— Złóście broń — powiedział Berest. — Nie wypuścimy was stąd... — I spojrzal na zegarek, dając do zrozumienia, że jego życzeniem jest zakończyć rozmowę.

Przedstawiciel Niemców ponownie zaczął dowodzić Berestowi, że to właśnie on, Berest, znalazł się w niemieckich kleszczach... I nieoczekiwanie zażądał, aby dapo im możliwość przedostania się w rejon Bramy Brandenburskiej...

Berest z trudem zapanował nad sobą. Wszak był młody — miał za ledwie dwadzieścia lat. Zapomniał więc, że ma być dyplomata.

— Czy przyszedł do Berlina po to — rzekł — aby wypuścić was, gady?... Jeśli się nie poddacie, wytluczemy was!...

Niemiecki pułkownik zaprotestował:

— Panie pułkowniku. Tak nie godzi się rozmawiać z parlamentarzystami.

Berest nie usłyszał go. Marynarze milczeli, żółta tłumaczka denerwowała się.

Niemiecki pułkownik przemówił nagle, nawet znośnie, po rosyjsku:

— Znamy swoje położenie i chcemy się poddać... Ale wasi żołnierze są wzburzeni... Powinności wyprawić ich i... ustawić w szeregu... Inaczej nie wyjdziecie!

— Nie — rzekł mu Berest. — Nie po to przyszedłem do Berlina z Moskwy, żeby ustawić przed wami swych żołnierzy... Nawet jeśli jest was dwa tysiące, a nas... dwustu.

— No, cóż — powiedział Niemiec — zamelduj, że pan proponuje podporządkowanie się waszym bojowym zarządzeniom.

Przedłużenie rozmów nie miało sensu. Berest zasalutował. Nieustrojew — także.

Zołnierz — tłumacz i Nieustrojew, którzy wchodzili za Berestem po schodach słyszeli, jak „pułkownik” Berest mamrotał pod nosem: „Gadziły! Gadziły!”

Niemcy ukryci w podziemiach Reichstagu poddali się tej samej nocy. Nad ranem.

Rozmowy o kapitulacji prowadził z nimi już starszy sierżant Sianow.

Spotkanie

Troszkę uciszyło się i my zaczęliśmy oswajać się z Reichstagiem, orientować się w jego nie kończących się schodach i przejściach. W wielkiej sali posiedzeń sięgającej do samej kopuły — światło. Kopuła przebita i nie było nad nią nic, prócz nieba... A w dole — zwalone kamienie, cegły i oberwane balkony... Chodził się po nich jak po pagórkach.

Później, z ciemnego korytarza, zagraconego „kuklami” zakutych w zbroję rycerzy, przechodził do innej części budynku, nie tkniętej przez ogień. Zachowana jest dobrze, choć i tutaj ściany są poprzębione i pachnie spaleniźnie. Niemoty już fizyler z ogromnymi wąsami rozwalili się na fotelu.

Zaledwie zdążył się przedrzeć: jest brudny i nieogolony. Tylko jego automat, przystawiony do fotela jest czysty. Ale jak on siedzi. Trzyma w ustach tłustego, dawno zrobionego skreta.

Patrzak, jak się rozwalili w fotelu, nie mogłem się powstrzymać i spytałem:

— No, jak tam sprawy?

— W porządku. Siedzę sobie w Reichstagu.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się pojawiającym znaczeniem tego, że przebywa w Reichstagu w przepoconej piłocie i wypalonym mundurze — rozwalając się na fotelu.

— Siedzę, ot tak — podjął i znowu uśmiechnął się tajemniczo, po swojemu.

Poznałem tego żołnierza. Przecież to kompanijny pisarz Garkusza... Mój stary znajomy. Półtora roku wcześniej, zimą czterdziestego czwartego — było to jeszcze w okręgu kaliniskim — uczestniczył w ataku i wdarł się do schronu pełnego Niemców. Sa tacy pisarze! I on, widzę, mnie rozpoznał. Tak, to Garkusza, ten sam Grigorij Garkusza...

A więc i on znalazł się w Reichstagu.

Wyszedłem na plac. Było ciepło, był ciepły, słoneczny ranek. Przy wejściu stały polamane, poskręcane lipy. Budziły się do życia.

Na Reichstagu — nad kopułą — łopotał sztandar.

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

ZDOBYCIE REICHSTAGU

WASYLIJ SUBBOTIN



Foto: Archiwum

Rankiem pierwszego maja — w 1410 dniu wojny — Radzieckie Biuro Informacyjne ogłosiło komunikat, że w centrum Berlina nasze wojska zdobyły gmach niemieckiego Reichstagu i zatkneli Sztandar Zwycięstwa. Mówił o tym także Stalin w swoim pierwszomajowym rozkazie.

W Paryżu, Londynie, w Nowym Jorku odprawiano uroczyste nabożeństwa. W eterze — wystarczyło włączyć radio — słycało było bicie dzwonów... A w tym czasie w pionącym korytarzu, nasi żołnierze stali przyparci ogniem do ściany, rękawami zasłaniając oczy.

Dowódcy batalionu przekazano, że może wyprowadzić ludzi.

— Wyjdziecie z Reichstagu, przeddziecie do obrony okrojonej, a kiedy się tylko budynek wypali, będziecie zdobywać go od nowa.

Ale nie było już gdzie wyjść. Słóczyli w jednej wąskiej sali krztusząc się od dymu, z nalożonymi maskami przeciwgazowymi — posiadali je niektórzy — nasi żołnierze leżeli na podłodze. Płomienie już się tu wdarły.

I coś z trzaskiem runęło. Z witywy w ścianie walił żółtawy dym. Ale jak spostrzegli, nie było to nowe zagrożenie, to był — ratunek...

I przez ten nieoczekiwany, nagle otwarty wylot żołnierze przeszli do sąsiedniego, już wypalonego pomieszczenia.

Niemcy, nie mogli nie osiągnąć. I sztandar nie spłonął, wciąż pozostawał nad Reichstagiem, tylko się lekko okopcił. Kiedy ogień zaczął powoli przysuszać wszystkie wyjścia z piwnicy znów zostały zablokowane...

Zaczął się ranek, drugiego maja

cu leżał wspólnie z żołnierzami w leju po pociskach. Później z dwoma zwiadowcami, Kantariją i Jegorowem „ustanawiał” sztandar... Teraz, już minęła doba, był tutaj, wraz z wszystkimi.

Na bluzę munduru Berest założył czystą długą, skórzaną kurtkę. Kapitan Matwiejew z oddziału politycznego oddał swoją czapkę — nową, z malinowym otokiem.

Nieustrojew poszedł także. Ale niczego nie nakładał, a nawet zrzucił z siebie waciak, żeby były widoczne oznaczenia. Berest nie miał wielu odznaczeń, a Nieustrojew — wiele... Można rzec — solidnie!

Jako trzeciego zabrali żołnierza z niedawno oswobodzonych nad Odrą jeńców. Znal niemiecki.

W dole już na nich czekano. Było oświetlone. Płonęły pochodnie! Od razu okrzykli ich niemieccy żołnierze. W rękach pistolety. Na helmach maskujące siatki.

Do Beresta i jego towarzyszy zbliżał się Niemiec. Berest spojrzal: oberst. Pułkownik! Wraz z nim dwaj marynarze. Kursanci. I tłumaczka — kobieta w żółtej kurtce.

Niemiecy żołnierze rozstapili się robiąc przejście.

„Pułkownik wyciągnął swoją rękę. Ale Berest podniósł swoją do czapki i powiedział: „Pułkownik Berest”.

I stał tak, w czarnej skórzanej kurtce, z podniesioną głową, wysoki, młody... Zastępca dowódcy — komisarz! Okazały. Barczysty. Pewny siebie. Któryś z Niemców powiedział: — Młody, a już pułkownik.

Na Nieustrojewa prawie nie patrzyli. Stał niezauważony. Tylko order błyszczał. I Niemcy popatrywali na jego pierś (przy Berestie ni-

NIE TYLKO HISTORIA

Rewolucyjne związki

Już od kilku miesięcy co jakiś czas biorę te książki do ręki, by zabrać się do pisania felietonu i... po paru chwilach odkładam ją znowu na półkę. Felietonowa forma jakoś nie przystaje mi do tego „la”. Jest zbyt utnuta, enigmatyczna i nieprzeznaczona, by właściwie elitenom pokwitować pojawienie się tej ambitnej książki. Skoro jednak, jak to w życiu bywa, na ukazanie się wszechstronnej recenzji wypadnie nam zapewne sporo poczekać, więc niech będzie na razie choć i felieton.

Nie tylko my, zawodowi historycy, ale i liczni zainteresowani historia czytelnicy znamy dobrze ośrodek badań nad historią naszego kraju działający w Instytucie Słowiańszczyzny i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR. Wielokrotnie też miałem na tym miejscu okazję pisać o powstających tam pracach, ostatnio o cennej monografii, poświęconej Bronisławowi Szwarzemu. Tym razem mamy jednak do czynienia nie z monografią, ale dziełem o ambicjach naukowych syntez. Nosi ono tytuł (oczywiście w tłumaczeniu z języka rosyjskiego): „Studia o rewolucyjnych związках narodów Rosji i Polski 1815—1917” i zostało opublikowane pod koniec zeszłego roku (1976) nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Nauka”. W postaci liczącego sobie sześćdziesiąt stron dużego formatu, oprawnego tomu.

Redaktorami tego dzieła są dobrze znani nam uczeni, którzy mają w swym dorobku wiele prac, dotyczących dzieł naszego kraju: W. A. Dżakowa, A. J. Manusewicz, I. S. Miller oraz znany niedawno I. A. Chrenow. Poszczególne rozdziały pracy zostały opracowane przez trzynastu autorów. Praca ta, na różnych etapach jej powstawania, była konsultowana z naszymi polskimi. Co zostało sekretnie zamknięte we wstępie, w którym radzieccy badacze złożyli podziękowanie wyliczonym imiennie polskim historykom.

Jakie jest znaczenie tej pracy?

Od wielu lat, z coraz to większą intensywnością, zarówno uczeni radzieccy jak polscy, pracują nad zagadnieniami stosunków polsko-rosyjskich, ukazując w oparciu o nowe, nieznane dotychczas źródła i inne, zapożyczając w dawniejszym piśmiennictwie stronę wzajemnych relacji. Wielka rewizja dawnych schematów historiografii obu krajów, konsekwentnie realizowana przez marksistowską naukę historyczną, dokonuje się przede wszystkim na drodze żmudnych badań analitycznych. Realizuje się przez studia i monografie, właśnie takie, jakich wiele powstało już w Instytucie Słowiańszczyzny i Bałkanistyki, jakich nie mało opracowali też polscy badacze. Trudna to, wymagająca ogromnego wysiłku badawczego droga. Czasem wartościowa, nowatorska monografia — jak widzieliśmy to w przypadku kapitalnej książki W. A. Dżakowa o Piotrze Scieginnym — potrafi zmienić w nauce więcej niż tylko dotychczasowe ustalenia szczegółowe. Niejednokrotnie rzuca wiele światła także i na sprawy ogólne. Dlatego też pracy analityczno-monograficznej musi towarzyszyć ogólniejsza refleksja syntetyczna. Dlatego też, kiedy posiadamy już szczegółowy materiał, ustalony na drodze badań monograficznych, co jakiś czas trzeba zdobyć się na jego zsyntetyzowanie, połączenie w jedną całość, zaprezentowanie, w jednolitym wykładzie tego wszystkiego, co nauka zdołała skonstruować.

Takim właśnie wszechstronnym podsumowaniem całokształtu dokonanych badań nad związkiem rewolucyjnymi z wiazkami narodów obu naszych krajów w przeciągu jednego, ale bardzo ważnego dla każdego z nich stulecia, jest dzieło „Studia o rewolucyjnych związках narodów Rosji i Polski 1815—1917”. Przynosi ono pogląd na spłataną dziedzinę drogi wzajemnych kontaktów, wszechstronnie uargumentowany i zobiektywizowany. Ale także daje nam i coś więcej. Zawiera bowiem także prezentację materiału, na którym została zbudowana siatka sądów i ocen, obrót naukowy dokonywany w oparciu o ogromny materiał, dla każdego badacza, umożliwiający nie tylko zweryfikowanie formułowanych poglądów, ale także — co dla przyszłych badań jest szczególnie ważne — rejestrację znanej dotąd i wyszukaną podstawy źródłowej, i dlatego myśle, że dzieło radzieckich badaczy, zamykając jedną, płodną etap w badaniach stosunków między narodami zaprzyjaźnionych krajów, otwory na przyszłość drugi, jeszcze bardziej pogłębionych studiów nad tymi zagadnieniami, których nauka żywotność nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Każda nauka, a więc również nauka historyczna, zdążyła do syntezy, do całościowego oglądu badanych procesów i zjawisk. Zbyt często jednak chcielibyśmy tę syntezę otrzymać od razu natychmiast, na zawołanie, wtedy kiedy jest ona nam potrzebna. Dlatego też mamy tyle nieudanych prób syntezy. Zespół badaczy z Instytutu Słowiańszczyzny i Bałkanistyki nie poszedł ułatwioną drogą. Przeciwnie, wybrał drogę najtrudniejszą, ale jedyną, która rzeczywiście prowadzi do celu.

Wybaccie, że nie wymieniam tu nawet poszczególnych autorów, którzy opracowali rozdziały tej ważnej książki, nie streszczam też jej zawartości. Takie są już prawa felietonu, że musi się on pomieścić w z góry określonym rozmiarze. Rozdziałów jest w tym dziele dwanaście, a każdy właściwie warto byłoby przedyskutować. Uczyniła to specjalista, każdy w swoim zakresie. Każdy zaś historyk, zajmujący się problemami ruchów społecznych i politycznych, będzie musiał niezręcznie sięgnąć do tej ważnej i ambitnej książki.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TADEUSZ PAPIER

POMNIK DLA GENERALA

(opowiadanie)

Nie ma przedmiotów martwych, powiada Wiktoria, wszystko żyje. Kamienie także żyją i mają swoją duszę. Ale życie, zarówno kamienia jak i człowieka, nie rozwija się samo. Do życia potrzebna jest obecność drugiej osoby albo rzeczy. Człowiek wtedy umiera, kiedy jego serce jest puste. Kiedy twoje myśli są jałowe, nie się w nich nie dzieje, to choćbyś oddychał, jadł i spał, nie żyjesz. Kiedy zaś w twoich myślach jest inna rzecz albo człowiek, wówczas żyjesz.

Kamieniowi, żeby żył, potrzebny jest człowiek. Za sadem, który złożył mąż Wiktoria, Andrzej, bije źródło, a nad źródłem, z którego wypływa delikatny, czysty strumyk, stoi kamień. Andrzej chciał go usunąć, lecz Wiktoria nie pozwoliła. To jest mój kamień, mówiła, nie dam go zniszczyć. To jest mój najlepszy powiernik. Przed nim się wyplakuję i tu się spowiadam. Nie ma siły, która by go stąd wyrwała. Kamień ma około półtora metra wysokości. Wyrasta z ziemi w kształcie nieforemnej bryły, u dołu szerokiej, zawężonej u góry. Scałany ma nieregularne, a jedna z nich, obrócona na południe, jest lekko wklęsła. Można się w niej ułożyć jak w kolebce.

Przed wojną proboszczem był ksiądz Janas, który miał wielką ochotę na ten kamień. Ksiądz zbierał glazę polną na ogrodzenie cmentarza kościelnego. Wybrał wielkie glazy, ale nie gardził też mniejszymi. Nasze pola były zasiane takimi kamieniami. Skąd się tutaj wzięły, nikt tego nie doczekał. Mówiono, że były tu już od początku świata. Były utrapieniem ludzi. Wydawało się, że same się rodzą. Nie można było nastarczyć z ich zbieraniem. Ojciec, powiada Wiktoria, wyganiał nas co wiosną na pole z kosami i opalkami. Zbieraliśmy kamienie jak ziemniaki. Teraz ich nie ma. Trafiają się gdzieś gdzie, ale to nie to co dawniej.

Ksiądz zebrał z okolicznych pól dużo glazów, większych i mniejszych, poustawiał je jeden obok drugiego i w ten sposób zbudował mur, bardzo ładny, który podziwiali wszyscy. Za murem ksiądz posadził dzikie róże. Kiedy róże zakwitły nie było piękniejszego widoku. Niestety, po wojnie inny proboszcz kazał rozbić kamienie, przeznaczył je na inny cel, pożyteczniejszy, jak się tłumaczył ludziom, którzy przyszli do niego z przetestami.

Całe szczęście, powiada Wiktoria, że mój kamień ocalał. Wiktoria zgodziła się w swoim czasie, aby kamień oddać pod kościół, ale nikt nie mógł go ruszyć. Zaczęto kopać i okazało się, że kamień miał wielki i gruby korzeń, jakby jakie drzewo. Może ten kamień był kiedyś wielkim drzewem? — powiada Wiktoria i to drzewo skamieniało? Zapuciło korzenie głęboko i teraz nie można go wyrwać? Nie, nie poradzi, mówił zawiedziony proboszcz. I kamień został.

Wiktoria często przychodziła do kamienia i do źródła. Kiedy się z Andrzejem sprowadzili do tej wsi, było to w dwudziestym siódmym roku, Wiktoria miała wówczas dwa-

dzieścia dwa lata; a kiedy urodziła pierwszą córkę, Jagusię, liczyła dwadzieścia lat. Andrzej kupił od dziadka, który sprzedawał swój majątek, tę część ośrodka, która miała zabudowania stajenne. W tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi sad, były dzikie krzaki i kamienie. Andrzej przy pomocy sąsiadów pousuwał stare, niepotrzebne drzewa, powydzielał krzaki, wykopał kamienie, zbudował z nich stajnię.

Dzisiaj jest tu ładnie, powiada Wiktoria, każdy się zachwycą ogrodem, drzewami, gospodarstwem. Ale kiedyśmy się sprowadzili, płakałam po nocach i dniach. Nie było smutniejszego miejsca na ziemi. Wszędzie krzaczyska i kamienie. Nie było gdzie schronić głowy w południe. Wtedy odkryłam ten kamień i źródło. Toż obok rosła dzika jabłonka. Dawała małe, czerwone owoce o cierpkim smaku. Dojrzały pod jesień, trzymały się drzewa do zimy. Były najlepsze, kiedy je pierwszy mróz owarzył. Ptaki miały wtedy używanie. Z czasem Andrzej zaszczeplił na pnju jabłonki antonówkę. Załowałam bardzo starej jabłonceczki, ale mojemu nie można się było sprzeciwić. Jak się uparł do czego, nie było na niego sposobu. Do dzisiaj tęsknię za smakiem tamtych jabłek.

Ta jabłonceczka dawała cię, w którym można było odpocząć w upalne dni. Ale Wiktoria szukała tu nie tylko cienia. Kamień stał się jej powiernikiem, któremu zwierzała się ze swoich radości i ze swoich smutków. Pod tym kamieniem i w cieniu jabłonceczki przeżywała miłość z Andrzejem. Idź do źródła, mówił Andrzej, albo, idź do kamienia i czekaj na mnie. Ale to było bardzo dawno. Takich słów Wiktoria nie słyszała już od trzydziestu lat.

Wciąż jednak przychodziła do kamienia. W tym kamieniu jest zdrowie, powiada Wiktoria. Nie wierzysz? Ja też nie wierzyłam, ale nie ma troski i nie ma bólu, którego by ten kamień nie wyciągnął. Ile razy boli mnie głowa, a wiesz, jakie mam bóle, nie nie pomaga, żadne proszki, przychodzę wtedy do źródła, moczę w wodzie szmatę, przykładam na czoło. I czuję, jak mi się lepiej robi. A kiedy oprę głowę na kamień, ból odchodzi, sama nie wiem, kiedy. Zebym była nie wiem jak zmordowana, przyjdę tutaj, przyłożę głowę do kamienia, albo obejmę go, słyszę, jak woda bije cicho w źródle i zmięczenie odchodzi, mogę znowu iść w pole. Nie mówię o tym nikomu, bo by mnie wysmiali. Gdyby ten kamień umiał mówić, to by powiedział, skąd ma te siły. A może by się śmiał, jak ja się śmiałam kiedyś? Może by płakał, bo ile ja się w tym miejscu wyplakam? Bywały chwile, że kamień był cały mokry od łez. Nie dziwi się tym, którzy robią posąg z kamienia, bo kamienie, mój Boże, też mogą się zebrać człowiekowi, okazują więcej serca niż żywe stworzenie.

Dawniej kamień Wiktoria stał w pustym polu, na zboczu wzgórza, jedyną ozdobą była ta dzika jabłonceczka,

a dzisiaj za źródłem jest duży sad, pełna w nim jabłonie, grusze, śliwy, czereśnie. W środku sadu, jakby na jakiej polanie, stoi dom, murowany, z szerokimi oknami. Za domem, pod tym samym dachem jest stajnia, której ściany są wyłożone kamieniami polnymi, a za stajnią stodoła kryta dachówką. Pod stodołą Andrzej w budował wielką piwnicę, w której są liczne przegrody, przeznaczone na ziemniaki, jest także pomieszczenie na owoce. Piwnica jest sucha i chłodna, wszystko tu można trzymać, i mięso, i nabiał. Za ogrodem jest łąka, przez którą przepływa ów strumyk, wychodzący ze źródła. Przedziwna jest natura tego strumyka, bo jest on tak niski, woda ledwie się szczy, w gruncie rzeczy nie można prześledzić dalszego biegu strumyka, bo wypływa ze źródła pod kamieniem, i ginie w łące, jakby wpadał do jakiego jeziora. Może ten strumyk jest przyczyną, że trawa na łące jest zawsze soczysta, bydlę przepadła za nią. Wiktoria powiada, że z tej łąki zbierała trzycie, a nieraz cztery pokosy siano. Ziemia też dobrze rodzi, więc ludziom się wydaje, że u Wiktoria bogactwo przelewa się drzwiami i oknami. Ale ile trzeba było się napracować, powiada Wiktoria, żeby gospodarke z nieużytków doprowadzić do takiego stanu w jakim znajduje się obecnie. Lata upływały, zanim człowiek mógł się jako tako wyprostować. Nikt nie zliczył godzin ukradzionych nocom, ani potu i zmęczenia. Żadne opowiadanie nie odda całej prawdy. Tylko ten kamień zaświadczyć może o tym, co się tu działo.

Kupiliśmy to pole, powiada Wiktoria, od dziadka, który nosił tytuł hrabiego. Dziadec mieszkiał w pięknym dworze. Dzisiaj już nie ma tego dworu, bo obecny właściciel rozebrał go i na tym miejscu wybudował nowy dom. Wielka szkoda, że tak zrujnował. Bo stary dwór był bardzo ładny. Miał ganek podparty białymi kamiennymi słupami. Wechodzilo się tam po szerokich schodach. Moja córka ma zdjęcie z wesela, wtedy jeszcze ten dwór stał. Jagusia siedła sobie na kamiennych schodach, welon biały okryła wokół siebie. Jest to bardzo ładna fotografia, jedna z niewielu przedstawiających dawny dwór. Zaraz po rozbiorze dworu przyjechała komisja z województwa, jacyś ludzie oglądali ruiny, jeszcze nie wszystko było rozebrane. Jeden z nich usiadł na kamiennych schodach, niemal w tym samym miejscu, gdzie Jagusia robiła sobie fotografie. Jak on wyjechał na gospodarza? Panie, mówił, przecież to zabytek! Czy pan wie, jaka historia ma za sobą ten dom? Czy pan wie, że tu urodził się jeden z dowódców powstania listopadowego? Czy pan wie, kto to był Henryk Dembiński? Na tych schodach można by opowiadać historię naszego kraju od Konstytucji Trzeciego Maja. Tu mieszkali ludzie, którzy te Konstytucję uchwalali, którzy potem za to cierpieli. Dembiński! Nasz bohater i bohater Węgier. Razem z Bemem walczył na Węgrzech! Co pan o tym wie! A sam dwór! Jaka była jego wartość, zdaje pan sobie z tego sprawy? Dalibymy wam pieniądze na remont, mieszkalibyście w jednym skrzydle, a reszta około przeznaczylibyśmy na muzeum, bo ja wiem zresztą, co tu można by zrobić w każdym razie ochronilibyśmy zabytek. Żale były spóźnione, każdy to widział, zdawał sobie z tego sprawę i sam oskarżył, bo czemuż wcześniej się nie zjawili i nie zapobiegli rozbiorce? Ludzie z komisji chodzili jeszcze długo po ogrodzie, oglądali stare drzewa, które z pewnością o pamiętają najdawniejszych właścicieli, przeszli potem na nasze pole i zatrzymali się przy kamieniu. Oto świadek, powiedział jeden z nich wskazując na kamień. Gdyby on potrafił mówić! Byłam przy tym, opowiada Wiktoria, i oburzyłam się, Panie, odparłam, tylko od ludzi zależy,

czy te kamienie przemówią. Jeden z gości zaśmiał się, w tym śmiechu usłyszałam drwinę. Odparłam: ludzie są nieraz bardziej głusi niż kamienie. Co pani ma na myśli, dobra kobieto? — zapytał ten, który się śmiał. To mam na myśli, co mówię, odparłam i odeszłam od nich.

Dziw człowieka bierze, jak ludzie z ludźmi nie potrafią się porozumieć. Niektórzy myślą, że jeżeli pokończy szkoły, otrzymają papieraek ze stemplem, to już wszystko wiedzą. Szkoła jest potrzebna, to prawda, ale żadne świadectwo nie uprawnia do pogardzenia innym człowiekiem. Mój ojciec był człowiekiem, który nie umiał czytać ani pisać. A mimo to jego wiedza była ogromna. Wszyscy udawali się do niego po radę. Potrafił z pamięci obliczyć powierzchnię pola, odmierzyć każdemu to, co mu się należało. Kiedyśmy się sprowadzili w te strony, wszystkie działki po hrabim wymierzili nasz ojciec. Wszyscy do niego się wrócili: Tomasz, w najlepszej i sprawiedliwie nas podzielił. Przyjechał potem z urzędu geometra, sprawdził pomiary ojca, posłał do karczmy po pół litra i powiedział, że Tomasz więcej wie niż niejeden jego kolega, który ma patent w kiesze. Tomasz znał także historię Polski i bardzo żałuje, że nie doczekał naszych czasów, bo umiałby odpowiedzieć tym panom z komisji, którzy przyjechali na pogrzeb starego dworu. Ja słuchałam z chęcią opowiadań ojca, zwierza się Wiktoria, a ludzie jak go lubili i jak przepadali za jego historiami. Kierownik szkoły Jasiński, mówił, że mój ojciec powinien wykladać historię w szkole. Skąd on znał te rzeczy? Na pewno ktoś mu kiedyś czytał, a ojciec miał pamięć doskonałą, co raz mu wpadło w ucho, nie wypuścił już tego. Skąd wy to wszystko znać, pytało ojca, a on tylko się uśmiechał i mówił: a wiem! Jasiński mówił, że ojciec miał nie tylko dobrą pamięć, ale i wyobraźnię, która go pamięć, jak woda rośline, opiekowała. Wszystko, co wychodziło z ust Tomasa, wyglądało na prawdziwe. Ludzie wierzyli, że Tomasz opowiada prawdę. Schodzili się do nas w dni świąteczne, mój ojciec prowadził ich do kamienia, siadali w cieniu jabłonki, i ojciec zaczynał swoje opowieści. Mój ojciec od czasu do czasu odsiadywał karę aresztu, wtedy mówił się, że siedzi w kozie. Brał na siebie winę za różne przekroczenia, a to za podatek, płacił nie chciał, więc szedł do kozy. Chłopi którzy też odsiadywali karę, wybierali się wtedy, kiedy szedł mój ojciec. Tomasz, pytał, kiedy idziecie do kozy? Ojciec spoglądał na niebo, pociągał nosem, mówił, za jakieś trzy, cztery dni będzie lato, wtedy sobie posiedzimy.

Matka posłała mnie raz do ojca, który siedział w kozie. Powiedziała, idź, zanieś ojcu jedzenie. Wzięłam na plecy moją Jagusię, bo była mała, miała chyba ze cztery latka wtedy, do ręki dwojaczki, w jednym garnku był barszcz, w drugim ziemniaki. Do gminy było ze trzy kilometry. Słońce grzało, ale na brzegu horyzontu gromadziły się czarne chmury i grzmiało. Było parno. W połowie drogi, koło krzyża, usiadłam, odkryłam wieko, ziemniaki pachniały, barszcz dymił. Wzięłam jednego ziemniaka, podzieliłam się nim z Jagusią, popiliśmy barszczu, miałam ochotę na więcej, ale przypomniała mi się twarz ojca, sucha, pokryta siwą szczęciną, ojciec goił się raz w tygodniu, w sobotę, przypomniały mi się oczy ojca i zakryłam dwojczki drewnianą pokrywą. Reszta drogi przebyłam już bez odczuwania, bałam się, że mnie co skusi i zjem to, co było przeznaczone dla ojca. Było południe i ojciec siedział z innymi chłopami w gminnym sądzie. Trzy razy dziennie stróż gminny wypuszczał ich na powietrze. Teraz leżeli w trawie, na wznak, patrzyli na niebo, nieba nie było widać tylko zielone liście, pomiędzy

nimi przeblyskiwały kawałki błękitu. Chłopi kurzyli machorkę, dziadek palił z zakrzywionej fajki. Zauważył nas i powiedział: O, moja Jaguska przyniosła dziadkowi jedzenie! Siadł, odebrał ode mnie dwojczki, zajrzał do środka, powąchał barszcz, potem wziął łyżkę i zaczął powoli jeść. A może i ty, Jagusiu, skosztujesz? zapytał. E, nie, odparła Jagusia, ale dziadek wziął drugą łyżkę, wiedziałam, że ojciec nie zje bez towarzystwa i zawsze zabierałam ze sobą dwie łyżki, podał Jagusi i powiedział: Jedz, samemu mi nie smakuję. Skrzywił się tak okropnie, że Kopiński, nasz sąsiad, który potem był wójtem, dźwignął: Bierz, Jagusiu, jak ci dają, widzisz, że dziadek bez ciebie nie przeknie kęsa. Jagusia przysiadła się do dziadka, wzięła łyżkę i jadła z nim. Najpierw dziadek maczał łyżkę w barszczu, podnosił do ust, to samo robiła Jagusia, potem dzieliła się ziemniakami. Po posiłku, kiedy w garnkach pokazało się dno, ojciec nabijał ponownie swoją fajkę, zapał, opierał się o drzewo. Jagusia przylatowała się do niego i wtedy zaczęła się prawdziwe światło, bo ojciec zabierał się do opowiadania. Gdyby ci panowie z województwa słyszeli dziadka! Musieliby się wstydzili, kiedy nas pouczał, kto mieszkał dawniej w naszej wsi. Historię rodu Dembińskich dziadek znał na pamięć, ale mnie w tym czasie mniej obchodziły działania wojenne, ciekawymi mnie te sceny, które odnosiły się do naszych okolic, w jaki sposób przyszły generał formował z naszym krakusów straż bezpieczeństwa, w jaki sposób rozmawiał z ludźmi, jak to mieszkańcy Warszawy witali go, kiedy nie dał się osaczyć wojskom carskim i powracał do stolicy z ocalałymi żołnierzami. Wszystko to się działo bardzo dawno, ale ojciec potrafił z takim żarem opowiadać, jakby chodziło o ludzi, których się codziennie spotyka i z którymi się żyje. No właśnie o to chodziło ojcu, aby wywołać takie wzruszenia. Już nie pamiętam dokładnie słów ojca, mówił on, jak to generał, który pochodził z naszej wsi, prowadził wołowników, soplekłych od skwaru słonecznego ubranych w mundury i siermięgi, bo nie dla wszystkich starczało umundurowania, wszystko tam było mundurem, siermięga i kapota mieszczaka. A broń jaka mieli, ojciec wyliczał z upodobaniem, bo kochał się w niej; były tam fuzje, puginaty, sielkery, kosy. Prowadzono też armaty. Najbardziej wyciskało tzy, zwierza się Wiktoria, kiedy ojciec opowiadał o powstaniu, jakie zgutowała stolica generałowi. Wyobraź sobie, mówi Wiktoria, tych ludzi, ubranych i uzbrojonych najdługością, kiedy na ich spotkanie wychodziła tłumy, krzyca, niech żyje!, śpiewają. Jeszcze Polska nie zginęła, niektórzy klekają przed nim, wołają, niech żyje praw syn ołczyzny. Możesz wierzyć lub nie, ale ojciec twierdził, że słowa, które wypowiada, pochodzą od samego Dembińskiego. Ze jemu to czytał nauczyciel Jasiński, a on zapamiętał dokładnie i teraz powtarza. Z Dembińskiego ledwie był półtorąj mlił od Pragi, a już publiczność wychodziła naprzeciwko niego. Z początku szli krewni jego towarzyszy, którzy lekliwie pytali się o nich, potem ciekawo, i wszędzie było słychać płacz radości. Śmiecie rzec można, że przynajmniej połowa ludności Warszawy wyszła naprzeciwko Dembińskiego.

Nie trzeba się dziwić, mówi Wiktoria, że ojciec opowiadał o Dembińskim. Ojciec mówił: Gdyby był sukinsynem, jak inni, których wtedy nie brakowało, nie rzeklibym ani słowa. Ale o takim człowieku trzeba mówić i trzeba, żebyśmy o tym pamiętali. Dobrze by było, gdyby takim człowiekiem postawił pomnik. Tylko za co? zapytał ojciec patrząc na słuchacza. Pomyślałem sobie: pomnik już jest. Można na tym kamieniu wyrzeźbić słowa. Ale nie nie rzekłam.

JANUSZ WOJDECKI

SAMOTNOŚĆ

(z Rilkego)

Samotność jest jak deszcz w godzinach wieczornych
ma zapach holowników gdy idę brzegiem morskim
Ze stacji kolejowych i rozległych lotnisk
milcząc startuje w niebo w wygodnych odrzutowcach
Ląduje w wielkich miastach dalekich i obcych

Deszcz pada w miastach ogromnych nad ranem
gdy po ulicy z mlekiem jedzie wózek
Kiedy ci co się budzą już się nie poznają
leżą każde osobno z papierosem w ustach
i kiedy obcy sobie nienawistni ludzie
w wspólnym łóżku muszą leżeć noca

wtedy samotność płynie rzekami autostrad



JANUSZ WOJDECKI

MÓW DO MNIE CICHO

Mów do mnie cicho odbita
w białej pajęczynie popękanych luster
w pewnej dalekiej restauracji
w siedemdziesiątym piątym roku

Mów do mnie wolno sącząc słowa
przez długie palce niech ptaki umierają
na szczycie oddechu

Mów o białych szerokoskrzydłych samochodach
o przerażających ogromem miastach pełnych
świecących i kobiet o wabiącym
mięciwcu nocnych barów o
pięknie butelek na półkach

Mów do mnie bardzo cicho

OBIEKTYW NA WSPÓŁCZESNOŚĆ

Z redaktorem naczelnym łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej, **WOJCIECHEM FRANCEM**, rozmawia Jerzy Wilmański

„ODGŁOSY”: Krajowa Agencja Wydawnicza w Łodzi niedługo będzie w drugie pięćdziesiątce działalności...

WOJCIECH FRANC: Tak jest. W lipcu 1972 roku powołano w Łodzi oddział ówczesnego WAG-u, który potem przekształcił się w KAW, przejmując — na szczeblu centralnym — część Centralnej Agencji Fotograficznej, Biuro Wydawnicze „Ruch” itp.

„ODGŁOSY”: Jak obecnie kształtuje się profil i zakres działania Krajowej Agencji Wydawniczej, myślicie tu przede wszystkim o łódzkim oddziale.

WOJCIECH FRANC: Może na wstępie parę słów o plakacie politycznym, jako że notujemy tu zarówno spore sukcesy jak i dlatego, że jest to najszerzej docierający do społeczeństwa dział naszej propagandy. Poziom naszych plakatów jest wysoki, wielokrotnie prace wychodzące z naszej oficyny były nagradzane, skupiliśmy też spore grono

wybitnych artystów. Kierownikiem artystycznym jest znany grafik, Paweł Udorowicki, współpracując z nami m. in. Jacek Sierociński, Janusz Wiktorowski, Stanisław Labęcki, Stefan Balicki, Ryszard Kuba Grzybowski. Martwią nas tylko zbyt małe jeszcze nakłady naszych plakatów, często zamykające się ilością 3 tysięcy egzemplarzy. To niewiele, jeśli zważyć, że weszliśmy na teren trzech województw: skierniewickiego, sieradzkiego i piotrkowskiego oraz to, że właśnie plakat winien „uderzać” ilością. Dodam, że tylko z plakatem weszliśmy na obszar tych województw. W ogóle to działamy na terenie siedmiu województw. Ale wróćmy do plakatu. Niestety, nie ma jeszcze wypracowanych form eksponowania plakatów. Jest to zadanie dla naszej Redakcji Politycznej Propagandy Wizualnej — oczywiście przy wsparciu instytucji, zakładów pracy oraz naczelnego plastyka m. Łodzi. We własnym zakresie szukamy takich form kontaktu z odbiorcami plakatu. Organizujemy wystawy (na przykład w „Elecie”), opraco-



Foto: Archiwum

wujemy projekty wystroju propagandy wizualnej zakładu. Myślę, że zakładom takie kompleksowe projekty bardzo się przydadzą.

„ODGŁOSY”: Czy tylko „Elta” jest dla was takim laboratorium sprawdzania percepcji plakatu?

WOJCIECH FRANC: Oczywiście, nie tylko. Przewidujemy wystawy także gdzie indziej: w ZPB im. Obronców Pokoju, w / środowiskach studenckich, na Politechnice. Poza tym dr. Warzyńska z Zakładu Psychologii UL przeprowadza dla nas badania — swego rodzaju sondę — percepcji plakatu. W naszym nowym lokalu będziemy też mieli możliwość stałych, tematycznych ekspozycji.

„ODGŁOSY”: Na mieście widzi się bardzo ciekawe fotografaty ze znakami firmowym KAW.

WOJCIECH FRANC: To także nasza stała, długofalowa działalność. Wydajemy fotografaty o bardzo różnorodnej tematyce: na temat realizacji uchwał VII Zjazdu partii, z okazji rocznic i jubileuszy (np. na 150-lecie ZPB im. Dzierżyńskiego), na temat obronności, Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia oraz stały cykl „Łódzkie przemiany”.

„ODGŁOSY”: KAW jest więc swego rodzaju obiektywem skierowanym na współczesne sprawy i wydarzenia.

WOJCIECH FRANC: Jesteśmy tym obiektywem dosłownie. Nasza Redakcja Fotografii Propagandowej wydaje miesięczne fotokroniki dla województwa miejskiego. Notujemy tam wszystko, co warto utrwalać i popularyzować. Niestety — zbyt małe jeszcze jest zainteresowanie potencjalnych odbiorców fotokronik. Próbowałem naszym serwisem fotograficznym zainteresować Kuratorium, podobnie zresztą jak plakatami i fotografatami. Bez większego powodzenia. A skądinąd wiemy, że szkoły cierpią na brak systematycznego dopływu tego rodzaju materiałów propagandy wizualnej. Uważamy również, że w systematycznym otrzymywaniu naszych wydawnictw propagandowych powinien być zainteresowany, na przykład Miejski Zarząd Kln.

„ODGŁOSY”: Wspomniał Pan o Redakcji Politycznej Propagandy Wizualnej. Jakże są jej zadania?

WOJCIECH FRANC: Podstawowym zadaniem jest pomoc zakładom pracy i instytucjom w zorganizowaniu właściwego wystroju propagandy wizualnej. Realizujemy zatem projekty wystroju np. z okazji 1 Maja, rocznicy Rewolucji Październikowej itp. Ponadto opracowujemy kompleksowe projekty wystroju propagandy — m. in. dla „Unifry”, „Very”, „Dywilanu”, „Elty”. W tej pracy bardzo nam pomogła łódzka instancja partyjna ogłaszając kon-

kurs na wystrój propagandy zakładów pracy.

„ODGŁOSY”: Krajowa Agencja Wydawnicza to także książki, broszury, foldery...

WOJCIECH FRANC: A także albumy, prospekty, informatory, przewodniki... Ten obszar naszej działalności jest rzeczywistością bardzo rozległą. Wydaliśmy monumentalny album Antoniego Szrama i Andrzeja Wacha „Architektura Łodzi przemysłowej”, Wojciecha Walczaka „Zabytki architektoniczne Łodzi”, Romana Gorzelskiego „Miasto i wiersz”. Długo by zresztą wymienić.

Wydajemy — w ramach usług wydawniczych — dużo folderów reklamowych dla central handlowych i przedsiębiorstw przemysłowych. W serii turystycznej natomiast różnego rodzaju przewodniki, informatory turystyczne. W planach mamy folder „Kielce i okolice”, informatory o Piotrkowie i Skierniewicach, przygotowujemy folder o Głowniu, folder z okazji 400 lat Trybunału Piotrkowskiego oraz przewodnik po województwie piotrkowskim. Jeszcze w tym roku wchodzimy na teren województwa płockiego albumem „Gabin i okolice”.

Na zlecenie Przedsiębiorstwa Turystycznego — Łódź wydajemy przewodnik po łódzkich muzeach. Jeszcze w bieżącym roku wydamy wielki album Krzysztofa Pogorzałego i Andrzeja Wacha pod roboczym tytułem „Łódź — jeden dzień życia miasta”. Opublikujemy album monograficzny Zakładów im. Marchlewskiego...

„ODGŁOSY”: Powstaje z tego pozakazna biblioteka...

WOJCIECH FRANC: W tej bibliotece znajdzie się również półka z literaturą dziecięcą. Nie wydawaliśmy jej dotychczas, ale ostatnio otrzymaliśmy takie uprawnienia. Uważamy, że istnieje w Łodzi środowisko zarówno literackie, jak i plastyczne, które zapewni nam odpowiedni materiał. Myślmy także o wykorzystaniu bazy wytwórni „Semafory” dla wydawania przezroczyc z bajkami dla dzieci.

„ODGŁOSY”: Rzeczywiście imponująca wielostronność: propaganda, informacja, turystyka, literatura...

WOJCIECH FRANC: I jeszcze ekonomia i prawo. Planujemy broszury o tematyce społeczno-politycznej „Ekonomia na co dzień”, „Jedność praw i obowiązków”, może też jakąś biblioteczkę szkoleniową dla aktywu związkowego.

„ODGŁOSY”: Jeśli na początku powiedziałem, że KAW jest obiektywem skierowanym na współczesność, to teraz muszę dodać, iż jest to obiektyw szerokokątny. W jego zasięgu mieszczą się bowiem wszystkie najistotniejsze sprawy naszej współczesności.

COŚ z BAJEK

Woryginalne film ten nosi tytuł „Zbuntowana owca”, co jest chyba aluzją do lafontainowskiej bajki o lwie i owcy. U nas nadano mu tytuł „Kariera na zlecenie”, nie dowierzając widząc zarówno literackiemu doświadczeniu widza, jak i jego filmowym gustom, jakby nawet nazwił: Jean-Louis Trintignant, Jean-Pierre Cassel, Romy Schneider, Jane Birkin, Florinda Bolkan zbyt mało mówili przy tytule „Zbuntowana owca”. „Kariera na zlecenie” — to jest dopiero coś! Ale niech tam! Fakt pozostaje faktem, że i tak, i tak film Michela Deville nabiera rumieńców wówczas, gdy ogląda się go mając w pamięci wątki i motywy francuskiej literatury.

Nasi widzowie, także dzięki TVP, znają inny film Michela Deville, jest nim „Benjamin, czyli pamiętnik cnotliwego młodzieńca”, którego XVIII-wieczny libertynizm przywołuje się z pamięci, gdy ogląda się „Kariera na zlecenie”. Przypominają się także postaci z komedii Marivaux balzakowski Rastignac, maupassantowski Bel Ami. A więc mała repertoria z literackiej tradycji, ciałem, jak się okazuje, żywej, bo hie tak wiele znów się zmieniło na tym „najlepszym ze światów”.

Drogi i sposoby robienia kariery w świecie, w którym żyli lub żyją bohaterowie wspomnianych tu utworów pozostały te same. Wśród nich koronne miejsce zajmuje, używając XX-wiecznej nomenklatury, użytkowy seksualizm.

Film Michela Deville jest tak bardzo „francuski” nie tylko w kontekście znanych z tradycji literackiej motywów, jest „francuski” w sposobie ich prowadzenia — inteligentnym, błyskotliwym, często cynicznym i dwuznacznym, lekkim w swym warsztatowym wykonaniu, perfekcyjnym w aktorskiej interpretacji. Przy tym wszystkim społecznym ciężar gatunkowy tego wizerunku współczesnego francuskiego mieszczaństwa jest niebagatelny, choć może przydałyby się też opowieści o panu robiącym karierę jeszcze mocniejszą akcenty satyryczne, ale wówczas nie byłby ten film tak „francuski”.

Zacząć by trzeba od zwrócenia uwagi na znakomity pomysł wyjściowy. Nicolas Mallet (Jean-Louis Trintignant) — skromny urzędnik bankowy zrywa ze swym dotychczasowym życiem za namową przyjaciela — nieudacznik-pisarza Fabre'a (Jean-Pierre Cassel). On to, przy stoliku skromnej kafejki steruje drogami kariery Nicolasa. Manipulując życiem kolegi sprawdza swą znajomość życia, znajduje też masochystyczną radość w cierpieniu, jakie w rzeczywistości zadają mu sukcesy marionetki, którą prowadzi. Pomysł znakomity i znakomicie spuentowany.

Nicolas godzi się na ten niezwykle dla siebie korzystny układ. Nie ma nic do stracenia, zyskuje wszystko, co zostało przez przyjaciela zogramowane. To „wszystko”, to błyskawiczna kariera, zdobyta głównie dzięki instrumentalnie traktowanym kobietom i dzięki znajomości reguł gry, przyjętych w świecie ludzi zamożnych, których motywy i postępowania można przewidzieć przy kawiarzianym stoliku. Wszystko się sprawdza, również i to, że wraz z rosnącym kontem w banku nasz Nicolas stacza się moralnie coraz niżej. Ze początkowe skrupuły sumienia łagodzone są kolejnymi sukcesami. Postać Nicolasa to kolejny triumf Jean-Louis Trintignanta, który nadal jej groźną niakość i lekkość, które łatwo połączyć z bezczelnością i bezwzględnością.

Krytyka nazywa reżysera Michela Deville najwybitniejszym „feministą” francuskiego kina. I w istocie, portrety kobiet w tym filmie są wspaniałe. Austriaczka Romy Schneider odkryta przez Claude Sauteta („Okrucy życia”, „Cezar i Rozalia”), kreowana dziś na pierwszą aktorkę francuskiego kina — w filmie tym promienieje blaskiem dojrzałej kobiecości, o tyle przy tym niezwyklej, że prawie naiwnej i pozabawionej tajemnic.

Florinda Bolkan w roli Flory — lwicy salonu, demonstruje postać cyniczną, bo świadoma układów świata tego. Jej życiowość zigolak — Nicolas zdobędzie wówczas, gdy zagra w otwarte karty. Drapieżna Flora rozegra ku swej ucieście jeszcze jedną partię. Coraz bardziej popularna Jane Birkin w roli młodzieńczej prostytutki Marie-Paule — rzeka głuputkim wdziękiem i czystością duszy. A więc kobiety, kobiety, bez których nie ma męskich karier, każda inna i każda w tym filmie świetnie sportretowana, tak jak i cały ten świat aferzystów, wśród których karierę robi kolejny. To, że opowieść o niej można między bajki włożyć, świadczy o jej smutnej uniwersalności, wiedział o tym Ezop, La Fontaine, Krasicki i wielu, wielu innych.

EWA NURCZYŃSKA

ROZUMNIE
DOKŁADNIE
TWÓRCZO
DLA SIEBIE
I OJCZYŹNY



Foto: Archiwum

DNI LITERATURY POLSKIEJ NA UKRAINIE

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

Z lotniska na Okęciu nasz specjalny samolot odlatuje z trzygodzinnym opóźnieniem. Niestety, mgła. Nad podkijowskim lotniskiem Boryspol jest już słonecznie i ciepło, jak ciepłe są słowa, którymi nas Gospodarze witają. Nie tylko oficjalne osobistości z KC KP Ukrainy, rządu Ukrainy, SRR i związku pisarzy, ale także wielosobowa grupa mieszkańców Kijowa. Nad dużym, nowoczesnym dworcem lotniczym transparenty, hasła, flagi Polski, ZSRR i USRR (czerwona, z wąskim niebieskim pasem u dołu), kwiaty. W imieniu polskiej delegacji, której przewodniczy zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, sekretarz KC tow. Jerzy Łukasiewicz, dziękują za serdeczne powitanie minister Jerzy Kuberski i Zbigniew Załuski. Załuski mówi jako „pisarz, działacz i żołnierz”, rozpoczynając niejako listę, ciekawe i w osobistym tonie utrzymane wystąpienia polskich pisarzy.

Pierwsze spotkanie z Kijowem. Byłem w wielu miastach europejskiej części ZSRR, tutaj jeszcze nie. Zachwyciłem moich przyjaciół, którzy już wcześniej odwiedzili Kijów, wydają mi się w pełni uzasadnione. Ale nie ma czasu na dłuższe konfrontacje, bo mimo iż sporo udało nam się zobaczyć miejsc pięknych i ciekawych, to nie przyjechalibyśmy, tutaj jako turyści. I wrażenia tej natury staram się także w tej relacji ograniczyć.

Tego dnia odbywa się jeszcze konferencja prasowa z tow. Jerzym Łukasiewiczem. Duża sala wypełniona przedstawicielami prasy, radia i telewizji. Jest też i nasza grupa. Towarzysz Łukasiewicz odpowiada na dziesiątki pytań układając odpowiedzi w bloki tematyczne. Chyba dopiero teraz uświadamiamy sobie w pełni jak ta współpraca między Polską i Ukrainą jest rozległa i konkretna. Wystarczy wymienić budowę rurociągu orienburskiego, dostawę wielu ważnych urządzeń do huty „Katowice”, współpracę ośrodków górniczych, wymianę naukową (na uczelniach ukraińskich studiuje kilkuset polskich studentów) wymianę kulturalną między zaprzyjaźnionymi miastami: Krakowem i Kijowem, Poznaniem i Odessą, Katowicami i Donieckiem, Rzeszowem i Lwowem. I właśnie zorganizowane „Dni” są prostą konsekwencją tych wieloletnich kontaktów, stałej, wymierzonej konkretnymi współpracami, są na bieżącym etapie ich ukoronowaniem, podsumowaniem, udaną próbą powszechnego uświadomienia tego stanu rzeczy obu stronom.

2.

Wiele imprez z konieczności odbywa się równolegle. Nawet tutaj, w Kijowie. Później delegacja rozdzieli

się na kilka grup udając się do największych miast i ośrodków przemysłowych radzieckiej Ukrainy. Jeszcze tego wieczoru jest otwarcie Festiwalu Filmów Polskich w Republikańskim Domu Filmów, ale koleżdy z ZLP zagarniają mnie na przyjęcie do Związku Pisarzy Ukrainy. Słowo jednak o inauguracji festiwalu. Rozmawiam później z naszymi filmowcami o udanym przyjęciu przez publiczność „Zagrożenia” w reżyserii Wacława Florowskiego, filmu powstałego w naszym łódzkim zespole. Zarówno reżyser jak i aktorzy głównej roli Halina Wińska są bardzo zadowoleni.

Siedziba Zarządu Głównego ZP Ukrainy jest stary, świetnie utrzymany pałac. Gospodarze z pierwszym sekretarzem Związku Wasylem Kozaczemką goszczą nas tu długo w noc. Wiele z naszych pisarzy ma w Kijowie przyjaciół, starych znajomych. St. R. Dobrowski opowiada o swoim udziale w II Zjeździe ukraińskich pisarzy w 1948. Chyba jednak te współczesne kontakty, nie tylko odwiedziny, ale przekłady książek, prozy, dramatów — są najbardziej absorbujące. Później nieco, już po reakcji publiczności na spotkaniach, mogę się przekonać jak są tu popularni Julian Kawalec, Tadeusz Nowak, Andrzej Szyplowski (za kpt. Kłosa) Bohdan Drozdowski, Eugeniusz Pauksza, Wilhelm Szewczyk, Zbigniew Domino, Halina Auderska, nie wspominając na razie o Jarosławie Iwaszkiewiczem.

3.

Przedpołudnie następnego dnia ma charakter oficjalny. Odbywa się szereg oficjalnych, przez co nie mniej wzruszających ceremonii: złożenia kwiatów przed pomnikiem Lenina, na Grobie Nieznanego Żołnierza, na grobach polskich i radzieckich żołnierzy poległych podczas wojny. Także złożenie kwiatów przed pomnikami twórców, których związki z naszym krajem są szeroko znane: Tarasa Szewczenki, Iwana Franki, Łesi Ukrainki, Puszkina, Wandy Wasilewskiej, Maksyma Rylskiego.

Następnie delegacja polska spotkała się z kierownictwem KC KP Ukrainy na czele z członkiem Biura Politycznego KC KPZR I sekretarzem KC KP Ukrainy tow. Władymirem Szerbickim. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego „Dni” jest wicepremier Piotr Trońko. On też razem z sekretarzem KC tow. Marańczukiem bez przerwy towarzyszą delegacji okazując nam przy różnych okazjach wiele serdeczności. Jednak i towarzyszy Szerbicki także znajduje czas na kilkakrotne kontakty z delegacją, co mówi samo za siebie.

4.

Drugi dzień przebiega pod znakiem spotkań autorskich. Odbyły się one w „Zakładach Arsenalu”, zakładach „Lenińska Kuźnia”, w Instytucie pe-

dagogicznym im. Gorkiego i w słynnym, odznaczonym Orderem Lenina Uniwersytecie Kijowskim im. Szewczenki. Wybrałem się na ostatnie. Potężny gmach uniwersytetu ma kolor czerwony, i jak łatwo sparafrazować, był to i jest uniwersytet podwójnie czerwony. W ogromnej auli mrowie młodych dziewcząt i chłopców. W prezydium nasi z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Nie tu chyba nie ujmę moim starym druhom Kowalcowi, Nowakowi, Drozdowskiemu, którzy przemawiali bardzo ładnie i ciepło, ale Iwaszkiewicz na Ukrainie jest też Iwaszkiewiczem, a kto wie czy nie bardziej?

Przeszło pół wieku temu studiował prawo na kijowskim uniwersytecie. Teraz słucha owacji któregoś tam pokolenia. Znowu wyskakuje mi podwójna metafora: kłamra dwóch czasów, dwóch nacji. Wspaniały jest ten nasz mistrz Jarosław. Daj mu Boże dużo zdrowia, żeby dalej pisał takie książki jak ostatnie „Zarudzie” i tak reprezentował kulturę polską.

5.

Z wystaw „zaliczyłem” tylko ekspozycję „Polska — 77” oraz wystawę książek, grafiki i plakatu oraz książek radzieckich przełożonych na język polski. To wszystko w republikańskim pawilonie wystawienniczym. Wystawy starannie przygotowane merytorycznie o interesującym, oryginalnym wystroju plastycznym. O różnej wilkości, np. wystawa polskiej książki obejmująca ponad 2.300 tytułów. Dla ilustracji wymienię tylko kilka innych: dwie oddzielne wystawy plakatu filmowego i teatralnego, stroju narodowego i wyrobów ludowej sztuki stosowanej, malarstwa pn.: „Braterstwo broni”, malarstwa pn.: „Szlakiem Lenina” (dziela Wł. Zakrzewskiego) oraz wystawa ilustrująca problemy ochrony zabytków kultury w Polsce. Dużo tego, prawda?

6.

20 kwietnia delegacja podzielona na cztery grupy rozjeżdża się po całej Ukrainie. Trzy odlatują samolotami do Charkowa, Doniecka i Odessy, czwarta autokarem na długą trasę Żytomierz — Krzemieniec — Tarnopol — Lwów. Zabieram się z ostatnią grupą. Przewodniczy jej wiceminister kultury Aleksander Syczewski, z pisarzy jest Drozdowski, Domino, Szyplowski, rzeźbiarz Marian Konieczny, rektor ASP w Krakowie, red. nac. PIW Jerzy Skórnicki, z filmowców Jerzy Hoffman, Irena Karel, dyr. Stanisław Rostkowski z NZK oraz Ewa Demarczyk ze swoim zespołem. W ogóle każdej grupie towarzyszy zespół artystyczny. Na liście np. jadących do Charkowa widzę nazwisko dziśdzianki Jadwigi Paduch. Z łódzian występował jeszcze (na galowym koncercie w Pałacu Kultury „Ukraina”) Halina Romanowska i Jerzy Jacek, artyści Teatru Wielkiego. Towarzyszą nam także Ed-

mund Makuch, radca ambasady PRL w Moskwie (b. długoletni z-ca kierownika Wydziału Kultury KC partii) oraz konsul Jan Włodarczyk z generalnego konsulatu PRL w Kijowie. Oczywiście jest cały czas z nami grupa działaczy i twórców ze strony radzieckiej: m. in. pisarz Borys Olejnik i minister d/s kinematografii USRR tow. Bolszak. W sumie grupa ludzi nie tylko zasłużonych, z ogromnym dorobkiem twórczym bądź doświadczeniem w pracy państwowo-politycznej, ale też sympatycznych, koleżeńskich. Wymieniam ich wszystkie, bo razem spędziliśmy kilka niezapomnianych dni. Dni trochę podobnych w sensie programu, spraw do załatwienia jakie nas tu przywiodły, ale różnych bagactwem ukraińskiego krajobrazu. Środowisk które nas podejmowały, uroda miast i miasteczek mijanych po drodze. Tak przemierzaliśmy kawał trasy przez trzy obwoły: żytomirski, tarnopolski, lwowski, wszędzie witani chlebem i solą przez miejscowych gospodarzy, zawsze w otoczeniu setek mieszkańców, dorosłych i młodzieży, komсомолców i pionierów w strojach organizacyjnych. Wszędzie witani z niesłychaną serdecznością, słowami braterstwa i przyjaźni i gościnnością z jaką my Polacy możemy się spotkać tylko na radzieckiej ziemi. Chyba potrafilibyśmy to docenić nie tylko w słowach, chociaż słowa nieraz najserdeczniejsze nie wystarczają. Łatwiej to może było wyrazić naszym artystom np. znakomitej jak zawsze Ewie Demarczyk, która swój talent poświęciła sztuce trudnej lecz autentycznej, a przez to wszędzie wywołującej zachwyt i wzruszenie. Nam, gościom z Polski, również takich właśnie uczuć nie brakowało, kiedy oglądaliśmy występy rozmaitych zespołów zawodowych i amatorskich, ale o tym że ten czy ów zespół jest zespołem amatorskim można się było przekonać tylko na podstawie lektury programu. I chyba nie tylko na mnie największe wrażenie zrobił amatorski zespół pieśni i tańca istniejący przy Domu Kultury w Krzemieńcu. A Krzemieniec, miasto bliskie naszemu sercom dzięki Słowackiemu, urodzi i przepięknie położone, jest w ostateczności tylko małym miasteczkiem. Jak te dziewczęta i chłopcy (zwłaszcza chłopcy w „tańcu czabaków”) tańczyli! Sam już nie wiem ile w dynamicznym temperamentie, swobodzie a jednocześnie perfekcji jest wrodzonego talentu, a ile włożonego trudu? Pewnie i jedno, i drugie. Pewna jest jednak powszechność ruchu kulturalnego; fakt, że władze obwodów i rejonów nie szczędzą środków na stworzenie doskonałych warunków dla rozwoju ludowej twórczości.

7.

Akcenty polskie. Nie brakuje ich na naszej trasie. W Żytomierzu pomnik Jarosława Dąbrowskiego, w Krzemieńcu muzeum Słowackiego i biblioteka jego imienia w której znajduje się kilka tysięcy polskich książek, we Lwowie pomnik Mickiewicza, groby Goszczyńskiego, Konopnickiej, Zapolskiej, na których złożyliśmy kosze kwiatów. Akcenty polskie w pejzażu architektonicznym i w ludzkiej świadomości, która także wyrasta z historii. Nasze losy wspólne, oddzielne i pomieszczone często były trudne, ale teraz mamy jasną świadomość, że zawsze najbardziej postępowi ludzie naszych obydwo narodów i całe narody były sobie

bliskie i chciały żyć w przyjaźni i współpracy.

8.

Po powrocie ślippingiem (ale no raczej przegadana niż przespana) do Kijowa jest trochę czasu na dokładniejsze obejrzenie miasta, spacer, zwiedzanie muzeów. Nasi pisarze i ich ukraińscy koleżdy występują w telewizji. Już wcześniej mieli gołą pozadroszczenia prasę, wywiady, zdjęcia, obszerne noty o ich twórczości. Wieczorem spotykamy się wszyscy w konsulacie polskim podejmowani gościnnie i elegancko przez Konsula Generalnego Leona Tomaszewskiego. (Nb. przeszedł do służby dyplomatycznej po wieloletnim sekretarzowaniu w KW partii w Łodzi). Jest okazja do wymiany zdań, „jak to było” w Charkowie, Doniecku, Odessie. Wszyscy są jednakowo zadowoleni. Z miejscowej prasy już odtwarzam sobie ważny dzień w Charkowie, w drugim, 1,5-milionowym mieście Ukrainy. Odbył się tam wielki wiec przyjaźni na którym wystąpili towarzysze Łukasiewicz i Marańczuk.

9.

Dzień jeszcze inny niż poprzednie, bo przesiadamy się z kolei na trzeci środek lokomocji: wodolot. Kilkadziesiąt minut obawy, bo znów mgła, ale na szczęście ustępuje i można płynąć Dniepr opiewany w poematach, wierszach, piosenkach. Wielka rzeka. Trzy godziny płynięcia, szybkim stateczkiem do Kanłowa, pokonać się prochem Tarasa Szewczenki. Na przystani powitanie, jak zwykle serdeczne. Dzisiaj przewodni nam Józef Trzciniński, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC i w naszym imieniu mówi to co wszyscy czujemy stojąc przed Szewczenką z marmuru, ale jednocześnie Szewczenką żywym. Jeszcze zwiedzamy muzeum jego imienia i jedziemy autokarem do odległej o dwadzieścia kilometrów, Martynówki by złożyć kwiaty pod pomnikiem Ludwika Waryńskiego. Tutaj jest dom w którym się urodził, przemieniony na niewielkie muzeum. Stąd gdzieś na horyzoncie widać zakłady cukrownicze w których podjął pierwszą pracę i rewolucyjną działalność.

10.

W ostatnim dniu, jak nakazuje tradycja, delegacja polska sadzi drzewa w Parku Przyjaźni Narodów. Są to drzewa symboliczne i prawdziwe. Jeszcze ostatnie rozmowy, uściski na lotnisku w Boryspolu i po krótkim locie, już w ciemnościach, lądujemy na Okęcie. Jesteśmy zmordowani, na ostatnich nogach jak to się mówi, ale szczęśliwi zwycięzcy niezapomnianych dni. Jednakże polska kawaleria literacka nie taka słabowita. W hoteliku ZLP, gdzie nocujemy, Pauksza, Horak, Domino i kronikarz ich pobytu opowiadają swe wrażenia do czwartej rano.

JERZY WAWRAK

P.S. I jeszcze jedna uwaga, która jest i nie jest pointą tego zapisu. Nazajutrz w Łodzi w skrzynce pocztowej znalazłem awizo z pocztą. Poszedłem odebrać szarą dużą kopertę i bez zdumienia, ale z dużym wyjąłem tomik wierszy jednego z moich radzieckich przyjaciół. Przypadek? Oczywiście tak, oczywiście nie!



Foto: Archiwum

MUZYKA, TENIS I AKTORZY

Skończył się już jeden z najciekawszych seriali muzycznych polskiej Telewizji — „Nie taki diabeł straszny” Henryka Czyża. Był to także jeden z dłuższych cykli; Henryk Czyż prowadził swoje znakomite koncerty przed wielomilionową widownią szesnaście razy. Były to zarówno piękne koncerty jak i znakomite lekcje muzyki. Dawno już nie było w naszej telewizji tak świetnego programu popularyzującego muzykę poważną.

W tym miejscu wypada także wspomnieć „Żywoty instrumentów” Janusza Cegielny. Program to zupełnie inny w charakterze i realizacji, ale przecież obu autorom, zarówno Czyżowi jak i Cegielni, chodzi o to samo: o popularyzację muzyki, o podniesienie kultury muzycznej społeczeństwa. Myślę, że oba te programy znakomicie się uzupełniały. Ponieważ „Żywoty instrumentów” pozostały, warto pomyśleć chyba o zaproponowaniu Henrykowi Czyżowi dalszej współpracy. W jakiej formie, to już sprawa inwencji Telewizji.

Na brak pomysłów wszak twórcy programu nie narzekają. Ostatnio wymyślili nowy szlagier — aukcję kostiumów teatralnych z przepięknych magazynów TV. Tym razem reporterzy nie przeszkadzali w oglądaniu żywiłowego widowiska, jak to miało niegdyś miejsce na aukcji obrazów. Realizatorzy towarzyszyli giełdzie w sposób dyskretny, zawierając dramaturgię tego, co się na planie działo. A działo się dużo i bardzo ciekawie.

Niestety — trochę w parady wszedł tym razem tenis. Myślę nawet, że w stopniu o wiele za dużym nawet jak na rangę meczu o Puchar Davisa. Tenis jest pięknym sportem, Wojciech Fibak jest w tym sporcie gwiazdą pierwszej wielkości, rzadko zresztą oglądamy go w Polsce. To wszystko prawda, ale prawdą jest również i to, że tenis nie jest sportem zbyt telewizyjnym. Zawodników, co prawda mniej niż w futbolu, ale też i piłka mniejsza, gra przebiega w sposób bardziej skomplikowany... Nie wystarczy wiedzieć, która bramka jest nasza, ale trzeba się orientować w dość złożonych przepisach, zasadach punktacji itp.

Przypuszczam więc, że i zainteresowanych tenisem widzów było o wiele mniej niż sądzą autorzy programu.

Ostatnie dni przyniosły nam także parę świetnych kreacji aktorskich. A więc przede wszystkim Henrykonda w głośnym filmie amerykańskim reż. Johna Forda „Grona gniewu” — ekranizacji słynnej powieści Steinbecka.

Popis aktorski mieliśmy także w filmowym debiucie Jerzego Oblamskiego „Ostatnie takcie trio”, gdzie popisowe kreacje stworzyli: Zbigniew Zapasiewicz, Mirosław Otrębus oraz — oglądany zazwyczaj w epizodach — Ryszard Ronczewski.

Przed laty z powodzeniem przeszła przez polskie sceny sztuka Pavla Landovskiego pt. „Pokój na godzinę”. Obecnie Telewizja przedstawiła tę głośną sztukę. I tutaj mamy popisowe role Poli Raksy, Jana Englerta, Henryka Borowskiego i Zdzisława Mroźewskiego.

Mieliśmy więc ostatnio sporą rozmaitość na szklanym ekranie: muzykę poważną, tenis oraz dobre aktorstwo.

TELEMAN



Fot. Wl. Paris.

MY I ONI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Ciemności sprzyjają różnym łobuzom i nietrzeźwym, których tu nie brakuje. Spotkania z nimi nie należą do przyjemności. Takie różne „tydy” robią tu balagan i zanieczyszczają klatki schodowe i w ogóle grandzą...

— Milicja ich trochę gania, ale sama milicja nie rozwiąże problemu, wszystkich nie upilnuje...

— Tutaj są dwa sklepy spożywcze, otwarte do 20.00, a jeden nawet do 21.00. Z jednej strony to dobrze, bo można nawet późnym wieczorem zrobić zakupy, ale alkohol także sprzedaje się do końca, bo z tego sklep ma zysk...

— Całe gromady nietrzeźwych awanturników „produkuje” nasza „Wielkopolska”. Tam jest piwo cały dzień, nie tylko w kawiarni, ale i w barze. A jak się chce po pracy iść do baru na obiad, to często nie ma jak, bo większość miejsc okupują piwosze. Ale dla agenta przy piwie mniej roboty niż przy obiadach, a zyski większe...

Wiele jeszcze „żałów” nasłuchiwałem się od mieszkańców osiedla, bo tak już jest, że ludzie zwykle więcej uwagi poświęcają ceniom swej egzystencji niż jej jakości, jak by nie było. Ale jeśli nawet dzieje się gdzieś źle, to przecież nie można biernie czekać, aż owo zło samo się naprawi, bo to na nic. Wypada wziąć się do roboty, do działania, bo przecież wszyscy jesteśmy gospodarzami naszych domów, osiedli... Jak to jest na „Wielkopolsce — A”?

— U nas to jest tak — są małe grupki czy paczki znajomych lub sąsiadów, takie grupy towarzyskie tylko, albo też ludzie wzajemnie się nie znają, często nawet jeśli mieszkają w tej samej klatce schodowej, nie mówią już o całym bloku. I tak nie wiadomo — sami swoi czy sami obcy...

— A samorządy mieszkańców?

— Działają u nas samorządy, a jakże. Na osiedlu jest przynajmniej pięćdziesiąt komitetów domowych. Nasza Rada Osiedla już po raz drugi z rzędu zdobyła pierwsze miejsce w Łodzi we współzawodnictwie samorządów...

— To znaczy, że coś się robi i to chyba dużo?

— Ano... niby tak — w głosie wyczułem jakby lekką ironię. — Ale najlepiej to samemu zobaczyć. — moi rozmówcy spojrzeli po sobie tak jakoby dziwnie, umilkli nagłe. Dlaczego? Nie dowiedziałem się. Po chwili zostałem sam...

GOSPODARZE

Społecznym gospodarzem „Wielkopolska — A” jest Samorząd Mieszkańców — Łódź-Bałuty — Komitet Osiedlowy Nr 2. Jego siedziba mieści się w małym budyńeczku przy ul. Narodowej 9, w dwóch pomieszczeniach na parterze. Komitet działa w obecnej postaci organizacyjnej od 1973 r. Jego tzw. aktyw liczy ok. 100 osób, przewodniczy mu doświadczony społecznik Zofia Borkowska,

popularna tutaj „Szefowa”. W ramach Komitetu pracują komisje do spraw Gospodarki Komunalnej i Czynów Społecznych, Handlu i Usług, Zdrowia i Opieki Społecznej, Wychowania Dzieci i Młodzieży, Profilaktyki i Wychowania, Kultury i Oświaty, Sanitarно-Порządkowa i Pojedyncza. Przy Komitecie działają też: Terenowa Organizacja Partyjna, Oddział Ligi Kobiet oraz licząca 19 osób jednostka ORMO. Społecznikom mecenasują zakłady „Wagmet”; blisko współpracują z nimi szkoły podstawowe nr 56 i 184.

Jak pracuje Komitet, oczywiście przy aktywnym udziale mieszkańców osiedla? Oto mierzona w złotychkach wartość prac wykonanych w czynnie społecznym: w roku 1974 — 1.800 tys. zł, w 1975 — 2.100 tys. zł, w 1976 — 2.300 tys. zł, a więc tendencja zwiększająca. Wiele innych prac, przedsięwzięć i działań — a wiele ich — nie da się ująć w złotychkach; wiadomo, że nie wszystkie wartości można wymienić na pieniądze.

Tyle informacji wstępnych. Ze starannie prowadzonej dokumentacji można wyczytać więcej, ale ponieważ „papier” a życie to nie to samo, postanowiłem „z bliska” zobaczyć Komitet przy pracy. Okazała trafiała się doskonała. 28 marca 1977 r. w lokalu Komitetu odbyła się narada jego prezydium z udziałem specjalnie zaproszonego na tę okoliczność Naczelnika Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty — Zbigniewa Blaszczyka.

ZEBRANIE

Sceneria typowa: stoły zestawione w kształt litery T, pokryte zielonym filem, szereg krzeseł wkoło, popielniczki, kartki papieru, coś do pisania; tylko plastikowe kwiecie wazonach wyglądało mało dostojnie, bo tworzywo było wyjątkowo podłe. Na początku powitano wszystkich przybyłych i zagajenie w wykonaniu przewodniczącej Komitetu Osiedlowego. Następnie zebrani kolejno „zabrali głos”. Oto fragmenty zebrania przedstawione z pewnymi koniecznymi skrótami:

Przewodnicząca Z. BORKOWSKA: — Chodzi o to, by na naszej dzisiejszej naradzie przedstawić nasze postulaty towarzyszący naczelnikowi i zastanowić się wspólnie nad możliwościami ich realizacji... Mamy osiągnięcia i satysfakcje, ale jeszcze wiele jest do zrobienia... Chodzi też o to, by znów zrobić dla osiedla coś znaczącego, jeśli mamy myślę o utrzymaniu pierwszego miejsca we współzawodnictwie...

Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 56, mgr Z. KRAWCZYK: — Nasze osiedle może się poszczycić dużymi osiągnięciami. Ale musimy ten dobry stan utrzymać i waleczyć energicznie z wandalami... Sami tego nie możemy zrobić, bo można się narazić na różne skutki, ale z milicją to możemy. Chętnie będziemy chodzić na patrol i chronić posiadzone drzewka, które zostały już polamane. Tak samo, jak i grupy nietrzeźwych... Ja prosiłem, żeby częściej były tu patrole milicyjne. Ale nic z tego, pa-

trole są rzadko, a jak są — to łobuzów nie ma... — tu wymownie spojrzenie na przedstawiciela MO, który zmieszal się kompletnie.

Przewodnicząca: — Ja nie chcę bronić milicji... Nam jest potrzebny lokal, aby był wolny dla patroli MO i ORMO, bo tutaj obecnie nie ma gdzie przyprowadzać chuliganów na rozmowy, którzy się wyrażają, że człowiek się rumieni. Mamy tylko dwie sale ciągle zajęte na zebrania czy szkolenia. Dlatego apelujemy do towarzysza naczelnika o przydział tego pietra w naszym budynku.

Uklon w stronę Naczelnika wyraźnie zaskoczonego takim obrotem sprawy.

Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 184, mgr Z. DYLIK: — Obok realizacji zwykłego przedstawię program wychowania fizycznego podjęliśmy się „specjalizacji w gimnastyce artystycznej. Na to nie wystarcza nam jedna sala gimnastyczna, jaką dysponujemy. Już 5 lat temu wystąpiliśmy do władz dzielnicy o wybudowanie nowej sali, nawet zrobiliśmy projekt za 30 tys. zł, ale nie z tego nie wyszło, bo podobno są inne ważniejsze inwestycje. A nam jeszcze jedna sala jest konieczna potrzebna... A więc prosimy towarzysza naczelnika o poparcie dla nas...

Towarzysz Naczelnik był coraz bardziej zakłopotany, a nie wiedział, że to dopiero „mle ziego początki”. Bo oto kolejny przedstawiciel samorządu, reprezentujący Komisję do spraw Gospodarki Komunalnej i Czynów Społecznych, Z. Górecki, wystąpił z potężną porcją następnych postulatów do koniecznego i rychłego załatwienia, zaś przewodnicząca Komisji Handlu i Usług przygotowała na piśmie długą listę potrzeb ze „specjalistą — okularem”, wstążkami, agrafkami i inną pasmanterią oraz kureczkami z różną na czele. Przedstawicielka Komisji Kulturalno-Oświatowej uparła się na duży i dobrze wyposażony ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy, choć na temat kultury i oświaty nie rzekła ni słowa. Tu dopiero zaczął się nie ustający „koncert życzeń” pod adresem władz dzielnicy, a Naczelnika zwłaszcza. Uczestnicy narady przegłosowali się zawzięcie kolejnymi postulatami, nieczym na osobliwej giełdzie coraz to oryginalniejszych pomysłów. Oczywiście padały także propozycje bardziej przemysłane, realne i faktycznie przydatne dla osiedla, w każdym razie pilniejsze niż akurat kureczka z różną czy agrafki, owszem. Dyskusja jednak jakby przyćmiła umysł i zdrowy rozsądek...

Naczelnik znalazł się raptem w bardzo trudnej sytuacji, nawet gdyby był magikiem-cudotwórcą, miałby ogromne kłopoty z pozytywnym załatwieniem bardzo długiej, taslecowej listy „zapotrzebowań”. Jak wytłumaczyć tym ludziom, że wprowadzenie władze sprawować trzeba niekiedy w myśl zasady „dziel i rządź”, ale przede wszystkim, by dla wszystkich starczyło i by nikt nie został pokrzywdzony. Jak przekonać niecierpliwych „interpelantów”, że interes i dobro społeczne nie wyczerpują się tylko w interesie małej społeczności lokalnej? Przecież wreszcie dla osiedla wiele już zrobiono... I tu wybuchła „bomba” z pretensjami...

— To prawda, że wiele dla nas

zrobiono, ale jeszcze nie wszystko, dużo jeszcze trzeba...

— My jako samorząd najlepiej znamy potrzeby osiedla...

— A tu się wszystko robi bez porozumienia z nami...

— Faktycznie nasze władze przeprowadziły kilka cennych inicjatyw, ale bez wiedzy samorządu...

— To jest w ogóle skandal, że różne instytucje nie bardzo honorują nasze wyraźne polecenia, nawet na piśmie...

— Nasze pisma nie zawsze są respektowane, nawet z pieczęcią...

— Sprawa musi być wreszcie jasno postawiona, że władzę na osiedlu sprawuje samorząd i decyduje o wszystkim, a nie instytucje, które mało wiedzą o naszych sprawach...

O co chodzi? Współdziałanie, czy każdy sobie? Razem, czy osobno? Współpraca wszystkich zainteresowanych, czy „aby postawić na swoim”? Samorząd, czy raczej „samosiowatość”?

Problemy te należało postawić wyraźnie i ewentualne wątpliwości wyjaśnić do końca. Ale przecież zmiana typu świadomości, schematów myślenia, sposobów działania — to rzecz niezwykle trudna, nie do załatwienia na jednym, nawet najbardziej burzliwym zebraniu.

NA POŻEGNANIE

Kończąc rekonesans na osiedlu przeprowadziłem krótką rozmowę z Przewodniczącą Komitetu Osiedlowego; oto jej wyjątki:

— Jak się samorządowi współpracuje z dozorcami?

— Z gospodarzami domów, proszę pana... A pracuję się nam bardzo dobrze, już kilkunastu zwolniliśmy dyscyplinarnie... Ale poza tym jest bardzo dobrze.

— Co należy do najważniejszych aktualnie prac prowadzonych przez samorząd?

— Opiekujemy się dziećmi w naszej świetlicy... nawet mają zaplanowaną pomoc przy odrabianiu lekcji trzy razy w tygodniu.

— Czy dużo dzieci tu przychodzi?

— Wiele pan, to zależy od wielu czynników... Ale opiekujemy się też przy pomocy ZHP starszankami i chorymi potrzebującymi pomocy. Mamy tu kursy kroju i szycia, gotowania.

— Jakże można by wymienić ważniejsze prace społeczne?

— Na przykład kiedy mieszkańcy osiedla sami pomalowali futryny okienne w swoich mieszkaniach, tylko farbę mieli z „administracji”...

— Wszędzie tak przecież jest, więc czy można to zaliczyć do prac społecznych organizowanych przez Komitet?

— A dlaczego nie? Przecież to prace dużej wartości...

— W osiedlu mieszka wielu różnych „dygnitarzy”. Wiem, że ci ludzie chętnie wzięliby udział w ważnych pracach, wiele mogliby pomóc. Ale jakoś są przez was pomijani...

— My sami sobie doskonale radzimy, przecież pierwsze miejsce we współzawodnictwie samorządów nie dostaliśmy za nic. Ale porozmawiać można, owszem...

— Dlaczego nie współpracujecie z bałuckim domem kultury?

— Proszę pana, to jest niemiła historia. Oni kiedyś zachowali się wobec nas dość brzydko...

ZAMIAST KOMENTARZA

O osiedlu „Wielkopolska — A” mógłbym napisać zupełnie inny reportaż, przedstawiając je w samych pozytywach. Jest tam bowiem z pewnością wiele rzeczy godnych uwagi, warty pochwały. Mógłbym np. narzysować „laurkę” działającej przy Komitecie Jednostce ORMO, bowiem ci ludzie w pełni zasłużyli sobie na gorące słowa uznania, zasłużyli ciężką pracą, wykonywaną przecież społecznie. Samorząd także zrobił dla osiedla wiele dobrego i zapewne niejedno jeszcze zrobi, niekoniecznie tylko dlatego, by po raz trzeci zdobyć zaszczytne pierwsze miejsce.

Mógłbym napisać inaczej, nie narazając się na pewne pretensje i kto wie, co jeszcze. Jeśli jednak szukam „dziury w całym, to w tym celu jedynie, by ją ukazać — by można ją było co rychlej zaatac, póki jeszcze jest to możliwe, póki jeszcze czas. Nie podoba mi się bowiem taka osobliwa pazerność na jakiegokolwiek choćby małe zyski i choćby nawet niewielkie honory za wszelką cenę. Nie podoba mi się tym bardziej, gdy czasami kryje się pod pięknym hasłem „pro publico bono”.

Być może to wszystko to tylko mój osobliwy punkt widzenia. Może niezupełnie słusznie zbyt wiele spraw i rzeczy ukazało mi się w krzywym zwierciadle. Może zupełnie się mylę. Bardzo bym chciał...

ZBIGNIEW S. NOWAK

DNI KULTURY RADZECKIEJ

Inspiratorem łódzkich „Dni” jest Zarząd Łódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Ich rozmach musi więc budzić podziw i uznanie dla wielkiej energii grupy animatorów.

O „Dniach Kultury Radzieckiej” w Łodzi rozmawiałem z RYSZARDEM CHERSKIM, dyrektorem „Domu Przyjaźni” i ANDRZEJEM CZERNYM — członkiem ZŁ TPPR, odpowiedzialnym za współpracę kulturalną.

Oto co mi powiedzieli.

— R. CHERSKI: „To były już trzecie, kolejne „Dni Kultury Radzieckiej” w Łodzi. Corocznie też odbywają się w kwietniu, z okazji rocznic dwu ważnych wydarzeń: urodzin Lenina oraz podpisania układu o wzajemnej współpracy między Związkiem Radzieckim a Polską. Liczba imprez z roku na rok jest coraz większa, a cieszy nas jeszcze i ten fakt, że plan programowy przewidziany w kalendarzyku „Dni Kultury Radzieckiej” został całkowicie zrealizowany”.

— A. CZERNY: „Nigdy jeszcze dotąd nie udało się nam zaprosić tak wielu wybitnych artystów, tych, o których obojętności marzyliśmy. W 1977 roku i te plany się spełniły”.

— R. CHERSKI: „Nie maży się, że nie mieliśmy różnych trudności i przeszkód. Ale mościł wszystkich współorganizatorów „Dni” wynagrodziła frekwencja na imprezach, będąca autentycznym odbiciem coraz żywszego i szerszego zainteresowania kulturą narodów ZSRR. Premierowego koncertu Studia Piosenki Radzieckiej przy Domu Przyjaźni TPPR słuchało przed widzowskim amfiteatrem 3 tys. osób. W kinie „Iwanowo” na uroczystej premierze filmu Iłija Awerbacha „Cudze listy” połączonej z występem laureatów eliminacji wojewódzkich XVI Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej, było pół tysiąca widzów. W wielkiej imprezie inauguracyjnej 15 kwietnia „Dni Kultury Radzieckiej”, zorganizowanej p.n. „X Lenin” z udziałem pracowników czterech polskich zakładów przemysłowych im. Lenina (w tym łódzkiej Elektrociepłowni w ZDK „Energetyk”), wzięło udział prawie tyle samo osób...”.

— A. CZERNY: „A były to imprezy duże, masowe, lecz przecież jeszcze nie największe. Trudno jednak obliczyć, ilu ludzi przystąpiło się występom znanych zespołów i wykonawców na „Festynie Przyjaźni” w Aleksandrowie czy podczas „Niedzieli Przyjaźni” w gmachach Głównego i Stryków...”.

R. CHERSKI: — „Jeśli zostaniemy przy tych tylko paru przykładach...”

— A. CZERNY: „Wielkość z nich odbyła się w łódzkim „Domu Przyjaźni” TPPR. Starannie dobierany był program, a poziom wykonawczy stał na wysokim poziomie. Wymienimy chociaż: tradycyjnie już organizowany co miesiąc „Wtorek Poetycki”, tym razem z udziałem świetnej interpretatorki rosyjskich ballad i romansów — Nataszy Czermińskiej, recitale słowno-muzyczne do tekstów Puszkina, Majakowskiego, Jesienina, program pt. „Puszkina-Mickiewicz. Dzieje przyjaźni” z udziałem Anny Wesołowskiej recytacji Jana Kadłubskiego — Fortepian, program „Muzyka w blasku świateł” na spotkaniu ze specjalistami radzieckimi zatrudnionymi w wielkich, polskich budowlach, w wykonaniu artystów Teatru Wielkiego, Teatru Muzycznego i Filharmonii Łódzkiej...”.

R. CHERSKI: — „Przy czym lista podobnych imprez jeszcze się nie wyczerpuje. A wzbogacają ją projekcje filmów o sztuce rosyjskiej i radzieckiej, pokazy non-stop bajek radzieckich w ŁDK, występ Studia Form Teatralnych Łódzkiego Domu Przyjaźni na spotkaniu z aktywnym TPPR i łódzkiej Rady CRZZ, występ Teatru im. Jaracza dla żałogi elektrociepłowni w oparciu o spektakl „Protokół z pewnego zebrania...” Gelmana, bogata wystawa przekładów poezji rosyjskiej i radzieckiej w MBP im. Waryńskiego czy wreszcie kilka koncertów działającego od 4 zaledwie miesięcy, amatorskiego Studia Piosenki Radzieckiej”.

A przecież moi rozmówcy, reprezentanci łódzkiego „Domu Przyjaźni” wymienili w tym z konieczności skróconym przeglądzie zaledwie najważniejsze imprezy. Mówiąc o tegorocznych „Dniach Kultury Radzieckiej” w Łodzi i próbując wskazać na ich najciekawsze punkty, nie sposób przecież zapomnieć i o licznych inicjatywach środowiskowych, dzielnicowych (wyróżniły się tu zwłaszcza Dzielnicowe Zarządy TPPR na Bałutach i Górnej) czy tych uroczystościach i spotkaniach, które — jak choćby Plenum ZŁ TPPR czy spotkanie aktywów tej organizacji i władz łódzkiej placówki kulturalnych z radcą ambasadą radzieckiej i dyrektorem Domu Kultury Radzieckiej HELENA LEBIEDZIŃSKA uświetniły i podniosły rangę tej „pierwszej kulminacji”, w całościowej serii ważnych wydarzeń dla popularyzacji osiągnięć kulturalnych zaprzyjaźnionego narodu.

TOMASZ SOLDENHOFF

Radziecko-amerykańskie stosunki, a przede wszystkim kwestia podjęcia rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, znajdują się nadal w centrum uwagi szerokich kół społeczeństwa USA i ich zachodnich sojuszników. Wiele dzienników prasy burżuazyjnej otwarcie wyraża zaniepokojenie, że kompleks wojskowo-przemysłowy zechce wykorzystać chwilowy impas do rozkręcania nowej spirali wyścigu zbrojeń.

Jednocześnie prasa zachodnia odnotowuje kolejne konstruktywne stanowisko rządu ZSRR, opowiadającego się za niezłomnym zawarciem porozumienia i podpisaniem nowego układu, opartego na porozumieniu we Władywostoku. Jednakże militarystyczne koła Stanów Zjednoczonych i krajów zachodnioeuropejskich — członków NATO, korzystając z nadarzającej się okazji, usiłują za wszelką cenę zniewolować wszelkie próby zawarcia takiego porozumienia i rozpalać jednocześnie niewybredną kampanię antyradziecką.

Prasa amerykańska wyraża obawy, iż prawdziwe kłopoty Cartera zaczną się, kiedy polityczne realia wyrugują polityczną symbolikę. Na przykład, jeśli rozmowy o ograniczeniu uzbrojeń skończą się fiaskiem, a w październiku upłynie termin działania starego porozumienia o ograniczeniu broni strategicznych. Minister obrony, Harold Brown, daje do zrozumienia, iż Stanom Zjednoczonym nie pozostanie wówczas nic innego, jak włączenie się do wyścigu zbrojeń. Problem polega jednak na tym, jak zaspokoić wykluczające się wzajemne wymagania: równowagi budżetowej i programu ubezpieczeń społecznych.

Tymczasem w USA rozkręca się szeroka kampania antyradziecka. Aktywną działalność rozwijają na przykład dwie masowe antyradzieckie organizacje, tzw. Komitet Stałego Niebezpieczeństwa i tzw. Rada Bezpieczeństwa Amerykańskiego. Obie te organizacje, nastawione otwarcie antyradziecko, biorą aktywny udział we wszystkich kampaniach skierowanych zarówno przeciwko odprężeniu, jak i przeciwko samej idei odprężenia. Swój „wkład” do tego dzieła wnoszą także reakcyjne ugrupowania, jak np.: „Towarzystwo Johna Birchera”, którego wielu członków zasiada w Kongresie USA, organizacja „Młodzi Amerykanie Walczą o Wolność”, a także wydawnictwa znane ze skrajnego konserwatyzmu: „Conservative Digest”, „Human Events” i „National Review”. Poza tym w obecnej administracji wiele wysokich stanowisk zajmują zaciekli konserwatyści.

Wrzaski o „zagrożeniu narodowym” i „groźbie sowieckiej” są zaśloną dynmą dla wąskich interesów kompleksu wojskowo-przemysłowego, dążącego do osiągnięcia maksymalnych zysków. Zwrócił na to uwagę komentator polityczny „Daily World”, Jack Anderson, pisząc, iż wydatki na wyprodukowanie jednego nowego typu bombowca B-1 wystarczyłyby na

utrzymanie tysiąca klinik miejskich w przeciągu roku”. Przedstawiciele grup nacisku w USA utrzymują, że wydatki na cele wojskowe tworzą nowe miejsca pracy. Jednakże, jak pisze wspomniany już J. Anderson, dwa razy więcej bezrobotnych mogłoby otrzymać pracę, gdyby sumę tę wydatkowano nie na produkcję wojskową, a powiedzmy, na budownictwo lub na naukę. Minister obrony Harold Brown zabiega a realizację programu budowy samolotu B-1 i zwiększenia zbrojeń. Jeszcze dalej idzie przewodniczący komitetu do-

USA 27 i PÓŁ MINUTY „CENY POKOJU i WOLNOŚCI” ...

wódców sztabów, gen. George Brown, który także popiera budowę bombowca B-1, skrzydlatej rakiety oraz innych systemów uzbrojenia i jednocześnie stwarza przeszkody w podjęciu rozmów ze Związkiem Radzieckim o ograniczeniu zbrojeń strategicznych.

Zorganizowana kampania antyodprężeniowa narastała już od 1976 roku. W maju ub. roku były zastępcą sekretarza stanu USA, U. Rostow, założył organizację, o której wspominałem już wcześniej, p.n. „Komitet Stałego Niebezpieczeństwa”. Polityczną deklaracją Komitetu zaczyna się złowieszczony: „Nasz kraj przeżywa niebezpieczny okres i to niebezpieczeństwo wzmagają się”. Do akcji wprężono film, Kilka tygodni po informacji o założeniu komitetu w jednym z miast na Florydzie telewizja wyświetliła 27 i pół minutowy film pt. „Cena pokoju i wolności”. Ów sławny, kolorowy film pokazuje młodych radzieckich oficerów z twarzą zaciśniętymi szczękami, naciśniętymi szeregami guzików, które uruchamiają niszczytelne rakietki, demonstruje efektywność radzieckich czołgów, samolotów bombardujących, urządzeń radiolokacyjnych i innej techniki wojennej. Filmowi towarzyszy ponury podkład słowny amerykańskich oficerów wysokich stopni i mnóstwo cytatów z... Solżenicyna.

Film, którego złowieszczy ton jeszcze bardziej podkreśla posępna muzyka, został wykonany z funduszy „Rady Bezpieczeństwa Amerykańskiego”, przy współpracy kierownictwa Amerykańskiej Federacji Pracy. Po pierwszym pokazie, w listopa-

dzie ub. roku, film wyświetlano w telewizji 180 razy w całym kraju. Stacje TV otrzymywały go bezpłatnie, jako film spełniający „pożyteczną funkcję ogólnospoleczną”. Niezależnie od tego, jak podaje „New York Times”, 1250 kopii filmu rozszło się do przeróżnych organizacji.

John Fischer, były agent FBI, kierujący działalnością Rady Bezpieczeństwa Amerykańskiego jest bardzo zadowolony z tych liczb. „Rada”, założona w latach 50-tych, w apogeum „zimnej wojny”, orientowała się z początku głównie na kompanie przemysłowe. W 1970 roku w skład

jej członków wchodziło około 1700 kompanii. Teraz jednak Fischer przeorientował się na członków indywidualnych i, jak sam informuje, w roku finansowym, zamkniętym we wrześniu ub. roku, „Rada” liczyła 220 tys. członków, a składki przyniosły 428 tys. dolarów. W skład wiceprzewodniczących zarządu „Rady”, według danych broszury z 1976 roku, wchodzi pięciu emerytowanych oficerów wysokiej rangi, a wśród jej członków, jak czytamy we wspomnianej już broszurze, znajduje się jeszcze wielu innych, emerytowanych generałów i admirałów. Poza nimi, członkami rady są m. in.: James Engleton, były wiodący pracownik Centralnej Agencji Wywiadowczej, fizyk jądrowy Edward Teller, pracownicy naukowi szeregu instytutów, takich, jak na przykład Instytut M. Hoovera w Stanford, reakcyjni przywódcy związków zawodowych i wielu innych, wszyscy znani jako zwolennicy twardej linii w stosunkach ze Związkiem Radzieckim.

Nowa polityka Stanów Zjednoczonych, prowadzona przez administrację Cartera, zadziwia w świecie wiele ludzi. Sztwonne metody jakich używa, żeby uczynić próbę zmiany biegu wydarzeń, nie spotykają się z ogólną aprobatą.

JERZY CZECH

(J.C.)

DWA RAZY W GENEWIE ANGOLA NAM BLIŻSZA DELHI MÓWI O KONTYNUACJI SZANSE LEWICY HISZPAŃSKIEJ

Tematem nr 1 minionego tygodnia było rozbrojenie. Zakończyła się właśnie wiosenna sesja genewskiego Komitetu Rozbrojeniowego, na 11 maja zapowiedziano wznowienie w Genewie radziecko-amerykańskich rozmów SALT. W wymienionym już powyżej terminie rozpoczęła się rozmowa na szczeblu technicznym, a o tem ma dojść do spotkania Gromyki z Vance. Po niefortunnej podróży amerykańskiego sekretarza stanu do Moskwy i podjętej tam przez stronę amerykańską próbie rewizji zasad władywostockiego porozumienia z 1974 roku — nie zaniechano wzajemnych kontaktów. Źródła waszyngtońskie podają, że ich celem było znalezienie dróg przełamania impasu. W jakim stopniu to się udało — odsłonią genewskie rokowania.

Największym bezpośrednim wydarzeniem międzynarodowym dla naszego kraju była w minionym tygodniu wizyta w Polsce prezydenta Ludowej Republiki Angoli — A. Neto. Przyniosła ona: deklarację o umocnieniu przyjaźni i pogłębieniu współpracy między obu państwami, umowy o współpracy kulturalnej i naukowej, handlowej i gospodarczej oraz o współpracy w dziedzinie gospodarki rybnej.

W deklaracji obie strony wyraziły

m.in. głębokie zadowolenie z osiągniętych przez narody afrykańskie sukcesów w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, ale także stwierdziły wzmoczoną aktywność sił imperialistycznych i neokolonialnych. Niektóre narody afrykańskie znajdują się jeszcze pod obcym panowaniem. PRL i LRA potwierdzają swoją solidarność z ich walką.

Wiele uwagi poświęcono problemowi rozbrojenia. Oba kraje wyraziły swą gotowość uczestniczenia we wszelkich wysiłkach na rzecz rozbrojenia.

Deklaracja podkreśla znaczenie dwustronnych stosunków polsko-angielskich, zapowiada ich rozwój oraz umocnienie przyjacielskich kontaktów i współpracy.

Serwis wydarzeń tygodnia jest, jak zazwyczaj, bogaty. Zatrzymajmy jednak uwagę Czytelników jeszcze na dwóch.

Zmiana rządu w Indiach, co — przypominać — było następstwem przegranej partii Indir Gandhi przyniosła niepewność co do polityki zagranicznej tego kraju. Dlatego duże znaczenie miały rozmowy min. A. Gromyki z przywódcami indyjskimi. Wymiana poglądów na podstawowe problemy międzynarodowe pozwoliła stwierdzić, że stanowiska ZSRR i Indii są bądź zbliżone, bądź zbliżone. Inaczej mówiąc — Delhi utrzyma dotychczasowe priorytety w swej polityce zagranicznej, będzie angażować się na rzecz odprężenia, bezpieczeństwa narodów i rozbrojenia.

Nowy rząd indyjski, podobnie jak poprzedni, zainteresowany jest także

LÓD GRENLANDII ZDRADZA TAJEMNICE

Mniej więcej od czasów rewolucji przemysłowej, człowiek, chcąc nie chcąc, pokrywa śnieżne masywy Grenlandii i dalekiej Antarktydy niewidocznym „pismem”. Na półkuli południowej lodowe kryształki opadają z czystego błękitu nieba, ale i one niosą z sobą mikroskopijne ślady ludzkiej działalności. Molekuły ołowiu i cynku z pieców odlewni stałi Europy i Ameryki, sztuczne trujące jady chemiczne, popioły z kominów elektrowni — wszystko to opada na niepokalanie białą powierzchnię śniegu, wmarza w lód i stopniowo zostaje pokryte innymi osadami.

Mijają lata, dziesiątki, setki i tysiące lat, a te ukryte ślady działalności człowieka wnioskują stopniowo coraz głębiej w warstwy wiecznego lodu, stanowiąc, niewidoczny dla oka, zapis kroniki zanieczyszczenia naszej planety, kroniki która obejmuje 120 tysięcy lat. Przed uczonymi stoi obecnie zadanie odczytania tej kroniki zawierającej informacje o charakterze i skali zanieczyszczenia atmosfery ziemskiej przez człowieka. Amerykański uczony dr D. Anderson uważa, iż dzięki swoim wyjątkowo niskim temperaturom „kontynent wiecznych lodów” stanowi swego rodzaju „odczacz”, w którym gromadzą się substancje, trafiające do atmosfery. W rdzeniu lodowym długości około 40 cm, pobranym z lodowca w środkowej części Grenlandii, wykryto w jego najbardziej powierzchniowych warstwach zwiększoną ilość ołowiu, siarki i cynku.

Ta sama grupa uczonych wykryła w lodzie znaczne zwiększenie — w ostatnich latach — ilości cząstek popiołów, które powstają podczas spalania węgla w elektrowniach. Ciekawe, że w lodowych próbkach rdzeni dużej długości, okres upadku imperium rzymskiego charakteryzuje zwiększona zawartość ołowiu. Można by to wyjaśnić wytapieniem dużych ilości srebra, niezbędnych do bicia monet.

dalszym pokojowym rozwojem jego stosunków ze Związkiem Radzieckim. Słowa aktualnego szefa dyplomacji indyjskiej: „wizje przyjaźni” między obu krajami są dość silne, aby wytrzymać wymogi odmiennych ustrojów, odmiennie losy tej czy innej osoby lub partii politycznej” zapowiadają kontynuację i w tej dziedzinie. Bezasadnie okazały się przeto różne spekulacje na temat rzekomej zmiany polityki Delhi wobec ZSRR.

I jeszcze nieco o Hiszpanii. Największy madyrski dziennik „Cambio” opublikował przed kilku dniami wyniki sondażu opinii publicznej, po raz pierwszy przeprowadzonego na tak szeroką skalę. Sondaż ten potwierdził wprawdzie, że duża część wyborców nie podjęła jeszcze decyzji na kogo odda swe głosy, ale ujawnił także, iż spośród już zdecydowanych 51 proc. będzie głosować na lewicę. I tak 33 proc. wyraziło zamiar wsparcia socjalistów, a 14 proc. — komunistów. W dwóch największych miastach Hiszpanii: Madrycie i Barcelonie sytuacja dla lewicy jest jeszcze pomyślniejsza — aż 2/3 wyborców, którzy tuż podjęli decyzję, odda swe głosy na lewicę.

Wyniki ankiety zaskoczyły wiele kół politycznych. Próbuje się doszukiwać przyczyn tego w braku frontu wyborczego partii centrowych. Snuje się domysły, że jednak większość mandatów przypadnie tym ostatnim, ale utworzony przez nie rząd, być może, nie będzie mógł egzystować... bez choćby milczącego wsparcia lewicy.

W. SŁAWSKI

WYGRANA BITWA

Baliliśmy się wszyscy tego meczu, bo był to mecz naszych nadziei. Snując najbardziej czarne prorocztwa miał chyba każdy ukryty gdzieś myśl, że nie będzie tak źle. Ale też mało kto się z tej nadziei zwierzał, żeby tylko nie zapeszyć. I stało się. Reprezentacja Polski wygrała w ładnym stylu, pokazując, że znów liczy się na europejskich boiskach.

To zwycięstwo było nam wszystkim bardzo potrzebne. Po prostu dla odzyskania dobrego samopoczucia. Potrzebne było narodowej drużynie, która dążyła do odbudowania swojej pozycji. Potrzebne było każdemu z tej drużyny z osobna, a już szczególnie Włodzimierzowi Łubańskiemu, gdyż ten i ów zastanawiał się, czy przyjmie się on w zespole prowadzonym przez Jacka Gmocha. Przyjął się i to jeszcze jak skutecznie. Potrzebne było to zwycięstwo kibicom, aby spokojnie patrzeć w przyszłość. Potrzebne również i po to, aby uwierzyć, że Jacek Gmoch wie co robi. Jemu — podejrzewam — też było potrzebne.

Wojskowy powiedzieliby, że wygramy bitwę, ale do wygrania wojny jeszcze daleko. I będzie miał rację. Wystarczy spojrzeć w tabelę naszej grupy eliminacyjnej. Prowadzi w niej Polska po trzech meczach, mając 6 punktów i żadnych strat. Na drugiej pozycji jest Dania z 4 punktami zdobytymi i 4 punktami straconymi. Trzecią pozycję zajmuje Portugalia z 4 punktami i 2 straconymi, a czwartą — Cypr z 8 punktami straconymi.

Dania i Cypr mają jeszcze do rozegrania po 2 mecze. Najbliższy mecz Cypryjczyków grają z Polską 15 maja 1977 roku i fakt, że Cypr już się w eliminacyjnej rywalizacji nie liczy nie powinien nas uspokajać. Ten mecz nasza reprezentacja też musi wygrać i musi przygotować się do niego nie mniej uważnie niż przygotowawała się do spotkania z Duńczykami.

Polska i Portugalia mają jeszcze do rozegrania po 3 mecze, z tym że w „rundzie jesiennej” eliminacji Polacy grają z Portugalią i Danią, a Portugalczycy z wszystkimi partnerami i grupy eliminacyjnej. Przegraną w maju z Cyprzem automatycznie stwarza ogromną szansę dla Portugalczyców. Na szczęście Jacek Gmoch stwierdził w którymś z wywiadów, że doskonale rozumie sytuację i nie będzie najbliższego meczu traktował ulgowo. I ma rację, gdyż na to, aby rezerwować bilety do Argentyny jeszcze ciut za wczesnie. Z optymizmem czekałbym do jesieni, do września i października, kiedy odbędzie się pozostałe spotkanie eliminacyjne do mistrzostw świata. Na rezerwanie biletów do Argentyny zostanie jeszcze dużo czasu, a czas ten trzeba będzie też wykorzystać na dobre przygotowanie naszego zespołu, który — jak to zresztą widać sam Jacek Gmoch — ma jeszcze spore braki. Mimo więc pięknej wygranej w Kopenhadze na mecz z Cyprzem nie będziemy oczekiwali bez niepokoju.

Ale maj, jak to już dzieje się od 30 lat, przynosi nam również i inne emocje. Startuje XXX jubileuszowy Wyścig Pokoju. Rusza on 8 maja z Warszawy i na drugim etapie kolarze osiadają Łódź, aby następnie wystartować do Torunia. Polskie etapy zakończą się w Poznaniu. Z Poznania kolarze przewiezieni zostaną do Szczecina, gdzie nastąpi start do etapów rozgrywanych na terenie NRD.

Z okazji XXX Wyścigu Pokoju przypomina się jego historie i historii jego triumfatorów. W trzydziestoletnich dziejach tego wyścigu tylko trzech Polaków było ostatecznymi triumfatorami: Stanisław Królak w 1956 roku (dopiero!), Ryszard Szurkowski, ale za to czterokrotnie, w 1970, 1971 roku, 1973 i 1975 oraz Stanisław Szozda w 1974 roku. Natomiast polski zespół siedmiokrotnie wygrał Wyścig Pokoju. Dwukrotnie na samym jego początku, w 1948 roku z Warszawy do Pragi i z Pragi do Warszawy, a później dopiero w 1967 i zaraz następnie w 1968, potem w 1970, 1973 i 1974.

Jak będzie w tym roku? Zobaczymy to już za kilka dni.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (III)

(...)Rzeczywiście niezwykle — myśli Karol, ale już w innej tonacji, jest wzruszony — banita został przyjęty do nowej rodziny, gra w niej nawet poważną rolę. Szybko teraz wchodzi ludzie w nowe i serdeczne układy. chcą tego po wojnie, gromadzić się w klany i zaczynać od nowa. Przegląda się Marysia uważnie. Najpiękniejsza dziewczyna Wdźwiewa, nie da się ukryć. Stoł jasna, zasmucona, teskniąca w otwartym oknie, biała firanka faluje, na parapecie awoskie pelargonie, dalej zieleń i kawałek błękitu. Na czym polegają nowe układy między ludźmi, nie przewidziane a przecież silne? Ciocia twierdziła, że decyduje wdzięczność. Wdźwiewy powinien być ojcu, za popychanie do przodu, za to, że cie wraz z matką spłodzili, matce za to, że uczyniła z ciebie porządnego człowieka chociaż trochę brudasa, księdzu za łaskę ocalenia podczas wojny wymodloną u Boga, wojewodzie za przyjęcie do szkoły podchorążych, nie oż wzięnie, że wybuchła wojna i nie zostałeś oficerem, bo tymczasowym to ty być nie możesz, masz maturę i ciocie powinieneś być wdzięczny, w szeroki świat cie wprowadziła, poznała z ludźmi, którzy coś znaczą... eee, duperele, nie o to chodzi.

— Budziszowie nie powinni zostać sami.

— Racja, ale oni nie są sami, mają Anię.

— Ania nie zastąpi syna, zresztą wcześniej czy później odnajdą się rodzice. I pan odfrunie, tylko Stefan może im pozostać... i ja.

Ten układ — rozumuje Karol — jest zupełnie inny, mało w nim miejsca na wdzięczność, znacznie więcej na zaufanie, obywatel się bez łaski i protekcji, akcentuje raczej wspólne cele. Ubiegłej jesieni wybrał się Karol do Częstochowy, za opatrzonej w list polecającej od cioci. Miał się tam spotkać z panem Małowistem (powinieneś Karolu, być wdzięczny panu Małowistowi, że się chce zająć twoim losem, cóż, my będziemy w kraju czekały na prawdziwą wolność, z którą ty powrócisz, jeśli wszystko pójdzie dobrze). Karol nie miał zamiaru porzucić kraju, chodziło jednak i o pieniądze, które Małowist miał przekazać cioci od nieznanego Karolowi krewnych, ruszył więc z Łodzi w stronę Częstochowy, ale nie dojechał. Koło Radomska maszynista zahamował gwałtownie, na szynach leżały ściete sosny. Z lasu wykoszowali uzbrojeni ludzie, nie dosięgli jednak pociągu, zostali przyjęci bezładnym ale gęstym ogniem. Z wagonów także wyskoczyli uzbrojeni ludzie, nie dosięgli jednak lasu, nie mogli, ponieważ z kolei tamci odpowiedzieli gęstym i bezładnym ogniem. Karol zrobił to co inni pasażerowie, z konieczności neutralni, położył się na podłodze i czekał na koniec starcia, ufając, że wyjdzie cało. W pewnym momencie strzały umilkły na chwilę, Karol usłyszał soczyste przekleństwo — a niechże go jasna cholera i jeszcze gorzej. Podniósł się i wyjrzał ostrożnie przez okno. Za owalnym drzewem, całkiem niezłe ukryty, leżał żołnierz, a raczej plutonowy i męczył się z lekkim karabinem maszynowym Diegtariowa. Karol i teraz nie rozumie swolego postępowania, może chodziło o zwykłą żołnierską solidarność czy pomoc, może o coś innego, dość, że wystrzeżlił z pociągu jak kamień z procy; nim tamci zdążyli się zorientować leżał przy plutonowym. Nie takiego się nie stało, zwykle zadecyz, no ale w nerwach, tak to przecież bywa, nie widzi się drobiazgowo. Plutonowy puścił długą serię wzdłuż lizery lasu. Stefan pukał z teki, którą mł plutonowy podrzucił i tak się poznał i nie wymieniając ani słowa. Hałas był duży, ale nie trwał długo. Tamci uciekli. Karol wytarł Diegtariowa chusteczką, nie miał niczego innego pod ręką, zarzucił karabin na plecy i poszedł za plutonowym do zbierających się żołnierzy. Dowódca sorył plutonowego o Karola, niby co to za jeden, plutonowy odpowiedział, że pewnie jakiś swój chłop, to przecież od razu widać, zjedli razem puszkę tuszonki. Zaním pociąg ruszył z powrotem Stefan napisał list do ojca z prośbą, żeby przyjął studenta na mieszkanie, co się będzie szwendał po obcych.

— Z czasem to wojsko przestanie być potrzebne i Stefan odmaszeruje do cywila.

— Na dwóch kulach, mam takie przecucie. Zawsze boję się o nieką. Niech pan posiedzi chwile spokojnie przyniosę herbaty. Trofiejna, śmieszna nazwa, ale tak na nią mówią koledzy Stefana, pewnie rosyjska.

Odeszła do kuchni, Karol rozglądał się do pokoju. Skromne muzeum, ale ekspozycja przejrzysta, nie wy magała żadnych objaśnień. Dziadek Sobiesiaków w barancy, mina za dzierzysta, może trochę znużony, zbyt długim wpatrywaniem się w obiektyw. Koszula biała, bez kołnierzyka, jak u Wilosa, sukmana, wysokie buty. W tych butach przyszedł do Łodzi jako wolny najmita. Obok, na osobnym zdjęciu, jego żona z domu chłopskich Wróblów, uśmiech-

nięta, zapatrzona w przyszłość jak zwykle zaraz po ślubie. Nie wiedziała jeszcze wtedy, co ją czeka w mieście fabryk i głodu. Następne pokolenie prezentowało się okazalej. Trzech synów pod wąsem przeżyło piersi, dwóch pozwoliło się sfotografować w kajdanach, twarze śmiały, szeroko otwarte oczy i kule u nóg przytroczone łańcuchami — najślawniejsi w rodzinie sybracy. Karol słyszał wiele o nich od Budzisz. Jeszcze i chrzciny na ścianie, wesela, białe parny młode, dzieci w kolysskach, mężczyźni na trawie, przy butelkach, miny gęste jak to na majówce w lesie za Andrzejowem. Jeszcze pochody pierwszomajowe, młoczące maszyny podczas strajku okupacyjnego, robotnicy na betonowych

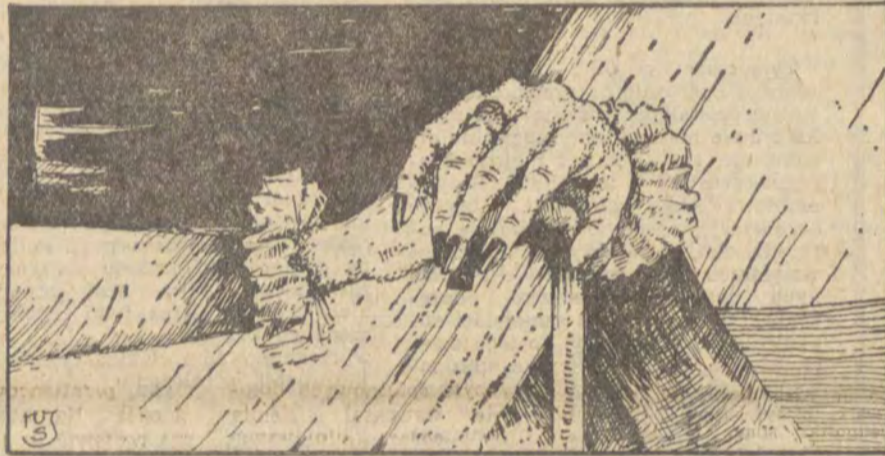
ska jest sprawiedliwa, szyty srebrnymi niemi. Paniękę podjął się namalować trwałymi farbami jeden taki znajomy malarz, sprzedawał chrzty świętego Jana, walkę Jerzego ze smokiem, albo ostatnie błękitna, z drugiej strony błękitna, z drugiej ze goba. Matka chciała inaczej — całość czerwona i żadnego świętego, bo to nie kościelna chorągiew, ale sztandar dla bojowników, robili się już takie sztandary w Łodzi, z jednej strony napis — za Polskę sprawiedliwą, z drugiej biały nasz orzeł.

— Na czym stanęły?

— Pan nie znał mojej matki.

— Rozumiem i bardzo żałuję, a dziękiego sztandar został u was?

Wiesław Jązdżyński przygody źle urodzonego studenta



Rys. Janusz Szymański-Glanc

podłogach, stoją, siedzą, w rękę gazetę, albo kawałek chleba.

— Jest herbata. Szybko się uwinełam, prawda?

— Chciałbym mieć kiedyś taką żonę jak pani.

— Będzie miał pan lepszą, ja źle gotuję, źle szyję, tylko martwić się umiem dobrze.

Marysia siorbie delikatnie trofiejną herbatę i opowiada o sobie. Półowe dnia zajmuje jej troska, a nawet lek o Stefana. Jeżeli tylko nie przychodzi na czas — mechanizm leku automatycznie rusza z miejsca — leży samotnie w lesie, wycieka ostatnia kropla krwi, już nie widzi i nie słyszy, albo całkiem zwyczajnie jak to mężczyzna wpadł pod samochód, odwieźli go do szpitala w ciężkim stanie, nie, inaczej było, wzięto go za kogo innego i aresztowano, mało to takich pomyłek? Nie jeden uczył się siedzi za bandytę Stefan bywa roztrzęsany, zamknął się w windzie, wszyscy już poszli, a on tam został, myśli, bez przerwy o czymś myśli, więc na pewno wsiadł nie do tego pociągu, mógł też wpaść do głębokiego dołu.

— Panno Marysio, a niechże się pani broni przed takim lekiem! Dojdzie pani w końcu do tego, że będzie pani nieszczęśliwa kiedy Stefan wróci na czas.

— Może ma pan rację, ale ja lubię się trochę pomartwić. Zapakowałam panu sztandar — zmieniła temat.

Marysia lubi opowiadać długo i barwnie. Brakuje jej zapewne precyzji historyka, nie uznaje dat, wszystko dzieje się u niej — najpierw, albo trochę później, przedtem albo potem. Marysia posiada jednak wdzięk, któregoś dnia szukała u historyków. Najpierw jądo się kolarce, potem dzieci szły spać. Mama wyciągała srebrne i złote nici, a Marysia wołała sasiadkę, haftowała tę sztandar we dwie. Na zamówienie grupy widzewskiej, ale to nie była grupa pierwsza, najpierw powstała bałucka, albo rekińsko-karolewska, widzewska później, ale była bardzo dobra w sobotą. Sasiadka chciała mieć z jednej strony święta paniękę, a z drugiej strony Polskę sprawiedliwą, znaczy taki napis, że Poi-

To też cała historia. Grupę gwardzistów miał wyprowadzić do lasu ojciec, majster Sobiesiak, a Budzisz, jako plutonowy z poprzedniej wojny, otrzymał funkcję zastępcy do spraw walki zbrojnej, a może trochę inna, mężczyźni nigdy jasno nie mówią o co chodzi. Do lasu poszli wszyscy, sztandaru na razie nie brali, może chcieli się zorientować czy będzie już potrzebny. Nie wiadomo, czy mógł ktoś zdradzić, czy to był ślepy los ale odkryli ich hitlerowcy. Ojciec bronił się do końca, zginął, pan Budzisz przebił się z trzema, musieli uciekać i nie mogli zabrać sztandaru. Dopiero teraz pan Budzisz chciałby, żeby sztandar wrócił do fabryki, bo on wcześniej wszyscy pracowali w kratkę, ale w tej właśnie fabryce. Nie wiadomo, czy ten sztandar za twierdzą.

— Dlaczego nie wiadomo?

— Orzeł ma koronę.

— Może mnie z tym sztandarem nie wyrzucą.

Sztandar nie był ciężki. Karol maszerował przez ulice lekko, niemal po żołniersku i jak zawsze, kiedy napotykał w swoim życiu coś nowego i ciekawego, próbował ocenić swoje położenie. Zazwyczaj doprowadzał swoje myśli do pytania, mnóstwa znaków zapytania, rzadko do konkretnych odpowiedzi. Wiedział oczywiście, że zatrzymuje się na tej granicy słabości, ale jej nie przekraczał, bał się odpowiadać na pytania, które sam sobie przecież stawiał. Tym razem jakby inaczej. Opytanie — kim jestem? Człowiekiem któremu powierzono misję rozwinięcia sztandaru bojowego. No, może nie zupełnie bojowego, nikt go w końcu nie niósł, przed walczącymi szeregami, nie poszarpały bagnety wroga, ani podziurawiły kule, a jednak ten sztandar utkany przez robotnice symbolizował nieprzejednaną walkę. Kim jestem? Prawde mówiąc jeszcze nikim szczególnym, wypieram się dopiero, przepoczwarzam, albo lepiej to będzie powiedzieć w języku socjologów — porzucam jedną grupę społeczną na rzecz drugiej. A konkretnie nie można? Czemu nie, może ów skomplikowany proces przechodzenia z grupy do grupy przedstawić całkiem szczegółowo.

Otóż to jest tak, mniej więcej ma się rozumieć: pod wpływem przeobrażeń, głównie społeczno-gospodarczych warunkujących awans człowieka w tym kraju, uczciwego człowieka dodajmy, zostałem pierwszym studentem w rodzinie, a w każdym razie należą do nielicznej i ścisłej czołówki. Zmieniam środowisko czyli społeczny przydział. Nie dukam już i nie ślęczę pod portretem Piłsudskiego, cóż, Polska przestała grać rolę Chrystusa narodów, rozpoczynam poważną edukację od „Kapitału”, jak kiedyś od mesjanistycznych idei, ale w innej scenarii społecznej, nie na pluszowej otomanie, lecz na poddaszu, w robotniczym osiedlu. Jest to także powrót do miejsca, z którego startował ojciec, kolporter „Robotnika”, który wysiadł ze swoim wodzem na przystanku „niepodległość”, a ja do takiego przystanku przecież nie zmierzam, więc z tego samego miejsca powinienem dojechać razem z Budziszami. Stefanem i matką do normalnego, pracowego życia osiadłego. Koniec z wojnami.

Śmiało, stawiał pytania i śmiało sam sobie odpowiadał aż do momentu, kiedy przystanął przed bramą wielkiej, czerwonej fabryki. Strażnik nie ukrywał zdziwienia przy wyległymowaniu Karola.

— Student ze sztandarem do sekretarza? Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

— Nie takie rzeczy noszą teraz studenci. Sekretarz jest?

— Zależy który.

— Bator.

— Batora akurat nie ma, ale jest drugi, znaczy organizacyjny, towarzyszy Głuszcz.

Karol wahał się przez moment, Budzisz mówił — oddaj sztandar Batorowi, o Głuszczu nie wspominał. Oddać? Oddać, przecież oni wszyscy są z jednej fabryki.

— Proszę mnie zameldować sekretarzowi, temu, który akurat jest — oświadczył stanowczo.

— Pójdziecie za mną.

Szedł za strażnikiem i zastanawiał się, czy powinien powtórzyć Głuszczowi to, co miał powiedzieć Batorowi? Budzisz chciał sprawić Batorowi niespodziankę, bo to był jeden z tych trzech, co się przebili, dlatego prosił Karola, żeby nie wymieniał nazwiska znalazcy, czy też ofiarodawcy, wystarczy powiedzieć że znalazł się sztandar bojowy, który należy do robotników tej fabryki, utkały go żony bojowników. Powiedzieć to temu drugiemu?

Głuszcz przyjął Karola sucho, może nie umiał inaczej, a może był bardzo zmęczony, wyglądał na takiego, który już nie pamięta jak wygląda przywoite łóżko u matuli! Karol rozglądał się ciekawie. Meble proste, prawie żołnierskie, w kącie kasa pancerna, okno puste, bez kwiatów, biurko idealnie czyste, bez jednego papierka. Jasna sytuacja dla socjologa — kostium określonej grupy społecznej, jej styl bycia, jej język.

— Wyście przyniósł ten sztandar?

— A jakże.

— No to dawajcie.

Rozwinął pakunek sam, bez słowa przyrządził się uważnie obu stronom sztandaru i nie patrząc na Karola chwycił słuchawkę.

— Władek? Przychoź zaraz, jest coś dla ciebie, co? niekoniecznie możesz sam przyjąć.

Karol wyczuł instynktownie, że coś jest nie w porządku. Chciał odejść jak najszybciej, ale Głuszcz go zatrzymał.

— Siadajcie, porozmawiamy.

— Kiedy o to chodzi, że nie mam czasu, muszę pędzić na wykłady.

— Wykładu posłuchacie na miejscu. Czegoś takiego nie usłyszycie na uniwersytecie, ja wam to mówię.

Do pokoju wladował się potężny mężczyzna. Obejrzał uważnie sztandar, usiadł skromnie w kącie i przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie Karolowi.

— Ten młody człowiek podrzucił nam taki towar?

— Trafiliś w dziesiątkę, Władek, ty zawsze trafiasz, bo dobrze widzisz cel.

— Typowa kontra. Skąd to macie?

— Znalazłem.

— Znalazliście? A gdzie się takie sztandary znajdują?

— Na strychu.

— Podajcie adres.

— Ten dom się spalił.

— To wam w takim razie oświadczam, że macie pecha. Będziecie musieli odbudować ten dom, a nie studiować, jeżeli nie przypomniecie sobie, skąd się ten sztandar wziął. Jasne?

— Jasne. Zostawić swój adres? Moglibyśmy kiedyś razem obejrzać sobie ten spalony dom.

— Nie trzeba, mnie wystarczy na razie sam sztandar.

IV

— U nas nie jesteście meldowany, studencie, pójdziecie sobie na drugi koniec miasta, do krewnych, nie znajdują się. Jak Stefek wróci to się wszystko załatwi. Ładnie się spisales. Bator już wie o tym.

Budzisz pali spokojnie papierosa, jakby nic takiego się nie stało.



KOCIO LATAJEW

Z twórczością Andrzeja Białego polski czytelnik miał możliwość niedawno się zapoznać. Okazało się, że ten był przykładem powieści uznawanej za najwybitniejszą osiągnięciem prozatorskim tego autora — „Petersburg”. Obecnie w serii Nike, ukazał się kolejny przykład — autobiograficzna powieść: „Kocio Latajew”.

Andrzej Biały, żyjący w latach 1880—1934 poeta i prozaik, był czołowym teoretykiem rosyjskiego symbolizmu. Ukończył studia pryzmatyczne i w tym samym roku ogłosił drukami pierwszą ze swoich czterech symfonii. Były to utwory pisane przez poetkę, zrytmizowane i zbudowane według wzorów dzieł muzycznych. Te eksperymenty formalne, odbiły się później także w prozie Białego. Znajdujemy je również w powieści „Kocio Latajew”. Jest to próba odtworzenia doznań i przeżyć małego dziecka kształtującego swoje pierwsze wyobrażenia o otaczającym go świecie. Nie należy jednak czytać jej, jak tradycyjnej powieści autobiograficznej, a raczej jak poematu, w którym ważniejszy od fabuły jest rytm prozy, poetyczna symbolika, powtarzające się i przetwarzane na nowo motywy.

Pisany w latach 1915—1916 „Kocio Latajew” według założenia samego autora miał być rozprawą, której założeniem było „przez rozszerzenie pamięci dostarczyć coś, co dotychczas dostrzeżone nie było, dopełnić owo coś nową świadomością”. Jest to więc tak charakterystyczne dla całej twórczości Białego wpatrywanie się w siebie. „Nie egoizm, ale egocentryzm, nekany obsesja bólu, nieuleczalna choroba — życia...” — napisała o nim Maryna Cwietajewa.

Andrzej Biały — „Kocio Latajew”, przełożyła: M. Leńkowska, Warszawa 1976, Czytelnik, str. 256, cena zł 29,—

ZYJ I PAMIĘTAJ

Powieść Walentina Rasputina „Zyj i pamiętaj” to jeszcze jeden dramat wojenny, jeszcze jedna opowieść o losach ludzi, którym wojna poplątała życie, a jednocześnie to piękna i porażająca prozą historia tragicznej miłości. Miłości, która z całą siłą wybucha w momencie, który z góry określa jej późniejszą klęskę.

Rasputin, popularny współczesny prozaik radziecki, kreśli ten swój wojenny dramat z daleka od frontu. Bohaterami jego powieści są ukrywający się żołnierze-żołnierze i jego młoda żona. Akcja rozgrywa się na tle wspaniałej przyrody syberyjskiej tajgi. Autor opowiada ją w sposób bardzo prosty, wyciszony, tym większe wrażenie robi potem tragiczne zakończenie stopniowo nabrzmiewającego konfliktu.

W swojej nowej powieści Walentin Rasputin przedstawia skomplikowane problemy moralne, pisze o odpowiedzialności za swoją postawę, ale także za postawę i losy ludzi nam najbliższych. Ta piękna, ale bardzo gorzka książka zasługuje na szczególną uwagę czytelnika.

Walentin Rasputin — „Zyj i pamiętaj”, przełożył: J. Pański, Czytelnik, Warszawa 1977, str. 276, cena zł 27,—

QUINCAS BORBA

Nie tak dawno pisaliśmy o powieści Machado de Assisa „Wspomnienia posmiertne Brasa Cubasa”, teraz znowu możemy sięgnąć po prozę tego autora, bowiem ukazała się jego kolejna książka pt. „Quincas Borba”. W pewnym sensie jest to dalszy ciąg tamtej powieści, bo w występuje ten sam, nieco zwariowany filozof, Quincas Borba, choć trzeba od razu dodać, że to same imię nosi również pies filozofa i to właśnie jego imię autor przewrotnie umieścił w tytule.

W powieści „Quincas Borba” Machado de Assis ilustruje akcją prawo selekcji naturalnej — walki o byt, które mówi, że w walce walczą jednostki silne, a nie słabsze są skazane na zagładę. Główny bohater powieści — Rubion okazuje się człowiekiem grupim i słabym, dlatego musi przegrać. Autor z całą bezwzględnością maluje obraz jego upadku i poniżenia, bo taka jest cena, jaką Rubion płaci za głupotę, naiwność i nieuczciwość.

Podobnie jak we „Wspomnieniach posmiertnych Brasa Cubasa”, tak i w „Quincas Borbie” Machado de Assis, wybitny brazylijski klasyk prezentuje filozoficzną konstrukcję i zakomity styl. I to przede wszystkim decyduje o satysfakcji jaką przynosi lektura prozy tego pisarza.

Machado de Assis — „Quincas Borba”, przełożyła: J. Z. Klawe, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, str. 242, cena zł 35,—

ODKRYWANIE MEZOPOTAMII

„Zdobycie Babilonu przez króla Persów Cyrusa, co nastąpiło w 539 roku p.n.e., nie miało w odczuciu współczesnych temu wydarzeniu ludzi takiego znaczenia, jakie dziś nadajemy tej dacie. Nie uważano bynajmniej, że zamknięta się wielka epoka w dziejach ludzkości, że misję kulturotwórczą, którą przez kilka tysięcy lat pełniła Mezopotamia, przejął miły, teraz już na dobre, inne ludy, mieszkające na innych terenach” — tak rozpoczął swoją ciekawą książkę „Odkrywanie Mezopotamii” Janusz Meuszynski, przedwcześnie zmarły polski archeolog.

Wspinała cywilizacja Mezopotamii poszła w niepamięć i przez całe wieki praktycznie jedynie Stary Testament dostarczał informacji o jej kulturze i historii. Interesowali się nią wprawdzie antyczni historycy i geografowie, ale ich wiadomości w porównaniu ze współczesną wiedzą o Mezopotamii są więcej niż ubogie. Oczywiście z pomocą współczesnym przyszedła archeologia, i właśnie książka Janusza Meuszynskiego opowiada o podróżnikach i naukowcach, których badania i odkrycia przyniosły coraz to więcej wiadomości o starożytnej cywilizacji ludów zamieszkujących międzyrzecze Tygrysu i Eufratu.

W kwietniu 1974 roku, w Nimrud na terenach dawnej Mezopotamii rozpoczęła pracę również polska wyprawa archeologiczna. Kierował nią autor książki, toteż w „Odkrywaniu Mezopotamii” znajdziemy również rozdział poświęcony polskim wykopaliskom w Nimrud.

Mezopotamia zawsze fascynowała umysły badaczy. Tam właśnie znaleziono tysiące glinianych tabliczek pokrytych pismem klinowym. Rozszyfrowanie tego pisma umożliwiło poznanie trybu życia i zwyczajów dawnych ludów zamieszkujących te tereny. Tam również umiejscowiona była biblija wieża Babel. Wszystkich, których pasjonują losy starożytnych cywilizacji odsyłamy do lektury książki Janusza Meuszynskiego.

Janusz Meuszynski — „Odkrywanie Mezopotamii”, PWN Warszawa 1977, str. 347, cena zł 35,—

WARTO PRZECZYTAĆ

- Marek Borucki — „Jak w dawnej Polsce królów obierano”, LSW, 1976, zł 50,—
- Lucja Danielewska — „Antyfony domowe”, Wpóz, 1977, zł 12,—
- Maurice Druon — „Król z żelaza”, WL, 1977, zł 35,—
- Karol Irzykowski — „Pisma pod redakcją Andrzeja Lama. Wiersze i dramaty”, WL, 1977, zł 90,—
- Tadeusz Wyruka-Krzyżaniński — „Dom ust”, Wpóz, 1977, zł 12,—
- Aleksy Kązberk — „Harakirra”, Iskry, 1977, zł 70,—
- Tadeusz Łopalewski — „Góra dawnych bogów i inne opowiadania”, Czyt, 1977, zł 50,—
- Jan Alfred Szczepański — „Imperium Tysiąca Bogów”, WL, 1977, zł 45,—
- Maria Szypkowska — „Konopnica jakiej nie znamy”, PIW, 1977, zł 80,—
- Witold Wiśniewski — „Próg naszego domu”, KIW, 1977, zł 20,—
- Plan Poznania, PPWK, 1977, zł 15,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

W MAGAZYNIE NA KOLEJOWEJ

Pisałem kiedyś o tym, jak bardzo irytują mnie swoiste listy proskrypcyjne Składnicy Księgarskiej. Otóż listy te, rozsyłane do księgarń, zawierają pozycje wydawnicze przecenione. Nie jest to oczywiście żadna chwala dla autora, jeśli jego książka osiąga cenę 2 złotych, bo to automatycznie znaczy, że pisarz wyprodukował dzieło niechodliwe.

„Ale czy rzeczywiście przeceniona znaczy to właśnie? Moim zdaniem problem jest bardziej skomplikowany, a przecena nie zawsze znaczy, iż książki nikt nie chce czytać. Znaczy natomiast z całą pewnością, że książka leżała w magazynach Składnicy Księgarskiej tak długo, że w myśl przepisów można ją przecenić.”

Tylko, że powstaje pytanie czy fakt „leżakowania” książki w magazynach oznacza, iż nie ma na nią chętnych? Otóż — moim zdaniem — nie zawsze.

Co prawda moje ostatnie książki nie uległy przecenom,

ale jedną — 10 lat temu — spotkała ta operacja. W pewnym sensie słusznie, bo była to bardzo słaba książka, ale w łódzkich księgarniach, z uwagi na tematykę, znalazłaby nabywców także za pierwotną cenę. Tylko, że w łódzkich księgarniach jej nie było.

I tu jest rzecz sedno. Książki leżą w zakamarkach magazynów Składnicy Księgarskiej, zakurzone i zapomniane, a w księgarniach czytelnicy odchodzą od lady z przysłowiowym kwitkiem.

Wybrałem się więc do owych magazynów mieszczących się przy ulicy Kolejowej 21 w Warszawie. I cóż tam zobaczyłem?

Zobaczyłem prawie 400 egzemplarzy powieści Ryszarda Binkowskiego „Pójdiesz ponad sadem”, wydanej w 1971 roku. W międzyczasie Waldemar Podgórski zrobił z tej książki piękny film, który miał znakomitą prasę. Wiadomo, że ekranizacja powieści wymaga

zawsze zainteresowanie pierwowzorem. Niestety — wtedy, gdy film wędrował przez ekrany polskich kin i zdobywał nagrody za granicą, książki w księgarniach nie było. Dziełki egzemplarzy „leżakowało” wówczas, tak jak i dziś, w magazynach Składnicy. Podobna historia, ale bardziej świeża, jest z książką Władysława Rymkiewicza „Czas po jedyną, trawą porośnię”. Niedawno powstał na jej kanwie film „Czerwone ciernie” i Dom Książki miał okazję powieść czytelnikowi przypomnieć. Nie wiem czy przypomniał, bo w magazynie znalazłem ponad tysiąc egzemplarzy rzeczony powieści Rymkiewicza.

W magazynie Składnicy Księgarskiej spotkać można wiele niespodzianek. Znalazłem tam m. in. bezskutecznie szukana od lat książkę Kaczorowskiej-Herman o Teatrze Popularnym Mielewskiego w Łodzi w latach 1910—1913. Na Kolejowej leży prawie 200

egzemplarzy tej cennej publikacji.

Leży tam również kilkanaście egzemplarzy niezwykle cennej i zupełnie dziś niedostępnej na rynku księgarskim dzieła prof. Gryzeldy Missalowej „Studia nad nowostanem łódzkiego okręgu przemysłowego”. Spróbujcie kupić je w księgarni! „Dawno wyczerpane” — powiedzą wam. A książki leżą, została przecenione i potem... leża dalej.

Ponieważ tak wiele rzeczy robi się u nas z okazji — więc może z okazji Dni Literatury czy Dni Oświaty, Książki i Prasy pofatyguje się ktoś do Warszawy na ulicę Kolejową 21, aby wydość z kątów zakurzone paczki z książkami, których w księgarniach nie ma, a być powinny. A ponieważ ludzie lubią w dziennikarskich publikacjach szukać prywatnych podtekstów, powiadam: żadna moja książka nie leży na Kolejowej. Leżą tam natomiast książki, które mogłyby być moje. Po prostu chciałbym je kupić.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SFINKS W AMERYCE

Przez wieki lat kolos rodyjski, przewrócony w czasie trzęsienia ziemi, leżał sobie na nieuprawnej ziemi, kozy po nim skakały, pokolenia szły za pokoleniami i wszyscy wiedzieli — że to leżało tu zawsze, a nikt nie wiedział i nie pytał, co to jest. Potem kolosa dźwignięto i był gotowy zabytek pradawnych czasów.

Akropolem nikt się przez całe wieki nie zajmował. Stał się swego stania, trwał mocą trwania. Nie było przecież urzędów konserwatorskich. Ale też nie było spalinywych obióków, nie wstrząsały ziemią wybuchy coraz silniejszych bomb, nie drgało powietrze od przelotu odrzutów. Nie deptali szacownymi głazów dziesiątki tysięcy stóp dziennie — ani przez rok nie zachodziło tutaj tylu ciekawych, co dzisiaj w jedną wiosenną niedzielę. Potęgą się i przyspieszają swe niszczycielskie działania siły, rozpętane przez człowieka. Mnóstwo się i rosną wysiłki tegoż człowieka, chcącego ocalić od zapomnienia świadectwo swej historii. Które z tych działań okaże się silniejsze?

Nigdy jeszcze nie przywiązywano tak wielkiej wagi do ochrony zabytków. Jakbyśmy nagłe — ogarnięci psychozą przyspieszonego galopu w przyszłość — poculi paniczny lęk przed oderwaniem się od własnej przeszłości jakbyśmy bali się stracić grunt pod nogami. Patrzymy w kosmos, ale ziemia musi pozostać bazą i opoką, ziemia i wszystko co tu było, co z nami wypływały dzieje.

Akropol zagrożony? Oto meldują się już Amerykanie i chcą cały Partenon, kamyk po kamyku, przeflanować do siebie, za ocean. Na ateńskim wzgórzu postawia w zamiar makietę zupełnie jak prawdziwą, ze wszystkimi szczerbami i rysami, zadaniymi przez czas i ludzi. Nie było jeszcze podobnej oferty co do Wenecji, która także ginie nie wytrzymując ciśnienia nowych czasów. Ale może i taka oferta się znajdzie, może nasze wnuki będą zwiędzali prawdziwą Wenecję koło Hollywood, a mniej zamożni zadowolą się atrapami na miejscu dawnego, przesłannego dziwnego miasta. Nie, nie będzie już w tym samym miejscu. Kanały zarosną, wyspy się za-

padną. W jakiejś sposobnej okolicy wykopie się nowe — nowe, żeby zachować pozór starego?

Cały świat staje się światem i kulturą atrap, namiastek, makiet. Wcale się nie dziwię, że perspektywa ta napawa ludzi paniką, że w ostatniej chwili rzucają się na ratunek. Jest to zresztą często nie ostatnia chwila, tylko bardzo a bardzo późniona. W Egipcie przenosi się prastare ruiny i rekonstruuje je o parę kilometrów dalej, bo na ich starym miejscu powstaje zalew nilowy. W ten sposób usuwa się gołdzi konieczność postępu z pietyzmem dla przeszłości, nie szczedząc przy tym ogromnych kosztów. A przecież nikt nie może gwarantować, czy nowe miejsce ruin nie okaże się już wkrótce konieczne potrzebne na przykład do budowy lotniska. Może przeniesie się ruiny jeszcze raz. Może do Ameryki. Będzie w Ameryce Egipt sąsiadował z Grecją, piramida z katedrą Notre Dame, mur chiński z Elnorem. Taki skansen, jak nasz pod Łowiczem, gdzie wiatrak stanie koło młyna, a chata sieradzka

obok księżackiego dworku. Czy to jeszcze zabytki, czy już muzealne eksponaty za szybką?

Wszystko co się robi jest absolutnie słuszne i jest tym jedynym, co zrobić można. Ta jedność, ta ułomna, koleka, wąta możliwość jaka nam została, pełna jest melancholii i niedosty. Nie odwróćmy karku historii, wejźmy pomiędzy atrapy i muzea, coraz więcej muzeów: czy zauważycie w prasie, ile i jakich dawnych muzeów powstaje nieomal codziennie w naszym kraju? Przy każdej takiej wzmiacze widzę oczami wyobraźni puste, wypucowane brzoźne, świecące podłogi, luźno rozstawione gabloty. Widzę sznur dzieci wchodzących pomiędzy gabloty, oczywicie w muzealnych bamboszach na nogach. Przejdą bez zainteresowania, ot — pani kazala, bo było w programie. Zdejmą bambosze i wrócą do swoich spraw. Gdy dorosną, pojadą z Orbisem do Ameryki sfotografować się na tle Sfinksa. Zaliczą...

CWIEK

PROPOZYCJE

DO RZECZY, PANOWIE!

Wejść na rynek z czymś nowym nie jest sprawą łatwą. Jest to zawsze związane z ryzykiem. Zawiesz na rynek czytelnicy z nowym piśmem jest również ryzykiem, chociaż rynek ten — jak się powozem uważa — nie jest dostatecznie nasycony, a niektóre pisma sprzedają się spod lady. Byłoby jednak wielkim uproszczeniem myśleć, że skoro jednych pism brakuje, to czytelnik kupi zamiast nich inne. Czytelnik robi najczulszej to, czego się po nim nie oczekuje. Chce przede wszystkim być zdobywanym przez pisma, chce czuć się piśmem potrzebny, co jest oczywiście, ale on — istota kapryśna — pragnie, aby mu o tym nieustannie przypominać, aby to wynikało z treści i sposobu redagowania pisma, które mu się proponuje.

Mimo wielkiej chłonności rynku czytelnicy wejść na ten rynek nie jest łatwo, jak nie jest łatwo na nim się później utrzymać. Piśmo o tym nie w formie przestrogi, jako że ukazało się właśnie nowe piśmo o młodzieży i określiło się jako „Magazyn publicystyczno-informacyjny”, a które wydawane jest przez Zarząd Łódzki ZSPM. Piśmo to nazywa się „DO RZECZY”.

Dobry tytuł nowego pisma to już połowa powodzenia. Czy „DO RZECZY”, to dobry tytuł? Entuzjazmu nie budzi. Skłania też do żartów. Nim w kioskach ukazały się pierwsze egzempla-

rze magazynu „DO RZECZY” w świątku dziennikarskim krążyły opowieści na temat tego, że Jacek Indekal z grupa straceńców przystąpił do pisma „OD RZECZY”. Żarty żartami, ale budziło to ciekawość.

„DO RZECZY” miało znakomite wejście na rynek i to dzięki — nie chwalić się — „Odgłosom”, na łamach których Andrzej Józwiak — Napoleon polskiej rozrywki — pryncypalnie zaatakował Pawła Tomczaka za to tylko, że ten chciał pisać o rozrywce i to — jak deklarował — że. Andrzej Józwiak — dobrze rozumiejący znaczenie reklamy — zrobił ją niechętny i piśmu, którego nie było jeszcze, którego nie czytał, więc nigdy w życiu i Pawłowi Tomczakowi, który nie dał się jeszcze poznać jako wybitny publicysta. Ale wszystko przed nim.

I stała się rzecz zabawna. Z enuncjacji Andrzeja Józwiaka wynika, że Paweł Tomczak przyszedł w sprawie rozrywki. Z enuncjacji Pawła Tomczaka, bo ten przez całą opisał w numerze pierwszym „DO RZECZY”, że ten przyszedł do „Estrady” po krótki wywiad na zupełnie inny temat. A mianowicie na temat losu młodych, zdolnych ludzi, którzy szukają możliwości startu i debiutu. Obaj panowie, jak z tego widać, nie zrozumieli się, dając Czytelnikom okazję do szczerzej radości, że sporu, który ma wszelkie cechy nadwrażliwości.

We wstępie redakcja zaznacza, że artykuły, notki i informacje „wyszły spod piór młodych dziennikarzy — profesjonalistów i amatorów”, ale to nie usprawiedliwia jeszcze nikogo, aby przeprowadzał rozmowy i ich później nie autoryzował. Magnetofoń wprawdzie znacznie ułatwia przeprowadzanie wywiadu i nie wyobrażam sobie, aby dziś można było inaczej wywiad przeprowadzać. Magnetofońem trzeba umieć się posługiwać, nie zawierając zbytnio taśm, które notuje wiernie, ale po przepisaniu z taśmy trzeba wiele jeszcze poprawić, aby tekst był czytelny. Samo tylko wierne spisanie helkodu, gdyż inaczej tekst mówiony słyszy się a inaczej odbiera się go po przepisaniu. Na przykład Paweł Tomczak, który odczytał z taśmy magnetofonowej, że nasz znakomity redaktor kolega nazywa się Jerzy Dymowski, a on istotnie nazywa się Jerzy Rzymowski, co można zresztą sprawdzić w redakcyjnej stopce „Odgłosów”.

Trzeba mimo wszystko przyznać, że nie samymi potknięciami i wybrykami ambicji, charakterystyczne jest pierwszy numer „DO RZECZY”. Przynosi on sporo interesującego materiału, czy to w formie wypowiedzi specjalistów, czy też w formie rozważań publicystów lub jako rezultaty reporterskiego penetrowania. Na łamach pisma wypowiadają się między innymi prof.

Janusz Górski i prof. Antonina Kłosowska. Swoje uwagi na różne tematy interesujące zespół redakcyjny „DO RZECZY”, który też uważa, że powinny one zainteresować Czytelników, wypowiadali się przedstawiciele różnych środowisk twórczych i instytucji kulturalnych. Nie obyło się — oczywiście — bez dyskusji redakcyjnej.

Wypowiadając się o nowym piśmie, staram się nie wydziwiać. Nie oczepiam się. Dziele się swoimi uwagami i spostrzeżeniami z całą zyczliwością, gdyż zawsze uważałem, że im więcej będzie pism w Łodzi tym będzie lepiej, bo to świadczy o rozwoju życia kulturalnego miasta, o rozwoju środowiska dziennikarskiego, które przecież dość szybko się starzeje i nie zawsze ma możliwość wchłonięcia akurat tych, którzy zdradzają dziennikarskie uzdolnienia, o czym zresztą na łamach „DO RZECZY” mówił Wojciech Drygas — prezes SDP. Redakcja przy tym prosi również o uwagi, a więc i tym jestem rozczarowany, że trochę powytkam. Ale wydaje mi się, że wybrano nie najsześciwszą szatę graficzną, bardziej pasującą do pisma adresowanego do młodości. Brak mi w pierwszym numerze „DO RZECZY” dobrego reportażu, sięgającego ważkich problemów. Fakt, że piśmo traktuje o młodzieży i przeznaczona jest dla młodzieży nie musi unikać spraw o charakterze uniwersalnym. Ale to wszystko można będzie nadrobić. A więc do roboty, panowie!

MARCIN RODAK

JACEK SAWASZKIEWICZ

REINKARNACJA

Nie byłem Introwertykiem. Może nawet posiadałem jakieś życie wewnętrzne, ale bliżej nieokreślone, dzielące się więcej poza mną niż w. Uważałem świat za wystarczająco ciekawy, by skupić uwagę na nim. Czasem kopnęło się kota, albo przylało w ucho smarkaczowi, który pałętał się pod nogami. Przyjemnie też było poszczuć jakąś staruchę. W ogóle reagowałem spontanicznie i nie szukałem samookreślenia, że trochę, bo wcześniej dowiedziałem się, co siedzi we mnie ukryte. Pierwsza sportstrzeżka to żona.

— Spójrz tylko na siebie — powiedziała któregoś wieczora,

gdy po trzech dniach wróciłem z imienia kolegi. — Zobacz, jak ty wyglądasz!

Puściłem tę uwagę mimo uszu, ale nazajutrz, przy gołębieniu, coś mnie zastanowiło. Nos, oczy, usta — niby takie same, a jednak inne. W drodze do pracy kupiłem kieszonkowe lustro. Przez cały czas trwania prasówki kontemlowałem swe oblicze. Bez rezultatu.

— Musiałoby się jej przewidzieć — mruknąłem i zabrałem się do roboty.

Około południa, gdy tłumaczyłem kolejnemu interesantowi, jak głupią sprawą zawraca mi głowę od pół roku, doj-

rzałem w jego oczach cień strachu. To chyba to daje o sobie znać — pomyślałem. Popędziłem do ubikacji, bo w tamtych lustrze można było zobaczyć całe popiersie. Oddicie miało wydłużony nos i dolną szczękę oraz zgrabnie splecione czoło okolonę gęsią, bujną czupryną. Zmiany szybko ustępowały.

Widocznie zachodzą tylko pod wpływem zwiększonej aktywności — wy kalkulowałem sobie. Zastanowiłem się, co by tu zrobić, żeby zwiększyć aktywność. Pomyślałem o koleżce i od razu krew mnie zalała. Ten nięnasycony idiota miał już dwa samochody, a w dalszym ciągu grał w toto-lotka. Bezwiednie uniosłem górną wargę i zaryczałem głęboko. Jeden rzut oka do lustra wyjaśnił wszystko: zobaczyłem przed sobą wspaniałą głowę lwa.

— A więc o to chodziło — warknąłem z radością, czując jak zbiera we mnie chęć odwetu. Tydzień temu Ziutek, mimo mej czujności, dostał nagrodę; zastępcy kierownika nie ruszyli, choć w donosie dokładnie podałem, skąd wziął pieniądze na budowę domu: Henków przyznał pożyczkę bezwrotną, a sąsiad po ostatnim awansie zarabiał więcej

niż ja. — Niż ja! — ryknąłem do lustra. — Ale teraz dowiedzą się prawdy!

Gnany nieokreślonym instynktem wypadłem z biura i popędziłem przed siebie. Samsami pokonywałem jezdnie, wyprzedzałem pojazdy, przekalkulowałem kosze ze śmieciami. Czulem na sobie zawistne spojrzenia mijanych osób, tym bardziej czuwałem nad harmonią ruchów, gracją skoków, i koordynacją pracy obu par łap.

Wypadłem na rogatki, przestraszyłem kilka szwendających się psów i pomknąłem przez pola w kierunku zieleńającego pasemka lasu. Już dopadałem pierwszych zarośli, gdy usłyszałem odgłos wystrzału. Potężny cios powalił mnie na ziemię. Przez długą chwilę nie mogłem złapać powietrza. Czulem, że zbliża się mój koniec. — I to w takim momencie — pomyślałem z goryczą. — Ale ja wam jeszcz...

Z lasu wyszło dwóch mężczyzn z sztucerami gotowymi do strzału. Stałem w bezpiecznej odległości.

— Ech, ojciec — powiedział młodszy — cma ci jakaś na oczy padła, czy co? Żeby ze stu kroków nie odróżnić dzika od świni...

WYPISY ŁÓDZKIE

KAROL KOZŁOWSKI

Z DZIEJÓW SCENY POLSKIEJ W ŁÓDZI

Historia sceny polskiej w Łodzi doskonale odbija w sobie dziwnie odrębny charakter miasta i jego życia umysłowego. Gdy w całym świecie równoległe z rozwojem miasta i wzrastaniem liczby jego mieszkańców wzrastają również ich potrzeby umysłowe, co sprzyja powstawaniu odpowiednich instytucji jako to: teatrów, stowarzyszeń muzycznych, śpiewaczy, sztuk plastycznych — w Łodzi, pomimo obszaru swego ściśle fabrycznej osadzie, bez względu na niesłychanie szybko wzrastającą liczbę jego mieszkańców i mnożenie się bogactwa miasta, potrzeby te drzemają, a teatr i inne instytucje artystyczne, jak na przykład towarzystwo muzyczne lub salon artystyczny, nie znajdują poparcia w żadnych wrażeń artystycznych, szerokich sferach ludności, lecz węgają jedynie, dzięki ofiarności niewielu obywateli filantropów, którzy niedobory materialne pokrywają z własnych funduszy.

Dotychczas atoli historia sceny polskiej w Łodzi jest właściwie historią niepowodzeń materialnych, niedoborów oraz bezsilności kierowników teatru i wysiłków ludzi dobrej woli, pragnących scenę polską podtrzymać i utrzymać w obec uporzecznej i niezwalczanej obojętności łódzian.

W Łodzi dopiero od niedawna istnieje niby to stały teatr. Do roku 1888 źródłem wrażeń artystycznych były towarzystwa wędrownie, goszczące zwykle bardzo krótko, najwyższej parę lub kilka miesięcy.

Najdawniejsze wiadomości sięgają roku 1844, w którym z namowy Drewnowicza, radnego miasta — liczącego wówczas 20.000 mieszkańców, a dymów (kominów) 990, przyjechał do Łodzi MARZANTOWICZ z nieliczną trupą i dawał przez kilka tygodni przedstawienia w szopie zajazdu na rogu ul. Zgierskiej i Placu Kościelnego; powodzeniem cieszyły się sztuki „Kobieta z gminu” i wodewil „Adam i Ewa”. Ulubieńcem publiczności był aktor Fijałkowski, dla którego panie łódzkie, w uznaniu jego talentu, składkę zarządziły.

W r. 1846 gościła przez czas pewien w budynku na Wólce wystawionym przez Geyera, umyślnie na zabawy publiczne i teatru amatorskie, trupa Pietrzykowskiego, którego żona była siostrą Rywackiej, prymadonny opery warszawskiej. Potem w r. 1848 w tym samym budynku dała kilka przedstawień bardzo mierna trupa Raszkowskiego.

Następnie przez kilka lat ani jedno towarzystwo dramatyczne w Łodzi nie odwiedzało. Zorganizowało się natomiast towa-

zystwo amatorskie, które z początku dawało przedstawienia co kilka tygodni w tym samym budynku Geyera, a potem gdy w Łodzi osiedlił się znany miłośnik teatru Fryderyk Sellin, przedstawienia amatorskie przeniesiono do lokalu wynajętego przez Sellina w domu Baucha przy ulicy Piotrkowskiej. Grywano na dekoracje dla teatru i na cele dobroczynne, przeważnie na szpital. Amatorowie rekrutowali się spośród łódzian, ale i pobliski Zgierz zasilał ich szeregi. Na wyróżnienie zasługiwali podług ustnej kroniki łódzkiej, kierownik teatru Sellin, Rybka, pani Zielińska i członkowie rodziny Skrudzińskich, z której dwie panny były znane z urody. Wystawiano przeważnie sztuki oryginalne, mniej tłumaczeń i przeróbek. Przedstawienia amatorskie trwały z przerwami około lat 6.

W r. 1854 zjechała do Łodzi nieliczna i mierna trupa Rembeckiej. Przedstawienia odbywały się w sali teatru „Paradyz” na Wólce, lecz absolutnie bez powodzenia. Aktorzy zadziwili się i nie mieli o czym z miasta wyjechać. Wówczas amatorzy przyszli z pomocą towarzyszom po sztuce i dali, wspólnie z aktorami, przedstawienie na rzecz (tych) ostatnich, które dało spory zasilek biednym wędrowcom. Wystawiono sztukę „Don Juan czyli ukarany libertyn”, która wywołała wielki zapal wśród widzów.

W r. 1856, również w Paradyzie dawało przedstawienie towarzystwo Barańskiego. Między innymi dawano głośną niegdys sztuki „Rinaldo Rinaldini”. Pierwszy akt kończył się bitwą żołnierzy z rozbójnikami. Wykonawcami byli artyści spośród robotników i rzemieślników. Gdy się rozpoczęła bitwa, sufler tak żywo przejął się akcją, że wychyliwszy się z budki, z zapamiętaniem, gestami pobudzał walczących i zapomniawszy dać sygnał na spuszczenie zasłony. Bitwa za długo trwała, walczący roznamietali się, rozpoczęli bijatykę na dobre, a gdy wreszcie sufler odzyskał przytomność i zasłonę spuszczone, scena była już zasnana pokaleczonymi i potłuczonymi ofiarami. Taki realizm w teatrze wywołał wśród widzów niebywały entuzjazm.

W następnym roku zjechało do Łodzi poważne dramatyczne towarzystwo Pfeiffra z Krakowa. Do składu trupy należeli Karol Królikowski, brat Jana, Józef i Feliks Bendowie — bracia Modrzejewskiej, pani Biedrońska, obecna Borkowska, jubilatka teatru „Rozmaitości” w Warszawie i Ptaszyńska. Dano dziesięć przedstawień w Paradyzie z dobrym powo-

zaniem, ponieważ ówczesny prezydent miasta, Treger, rozsyłał policjantów z biletami do obywateli, zarówno do Polaków jak i do Niemców; wszyscy więc kupowali bilety i chodzili do teatru. Zdarzyło się nawet, że na sztuce „Karpaccy Górale”, Niemcy plakali chociaż nie rozumieli języka, lecz tak ich zachwyliła gra aktorów. W roku 1860 — znowu Pfeiffer dał dziesięć przedstawień w Paradyzie. W tym czasie odwiedził Łódź Syrokomla, który przyjechał za aktorką Majewską. W r. 1864 Fryderyk Sellin wznosił przy ulicy Konstantynowskiej (dzisiaj Obrońców Stalingradu) budynek teatralny, nazwany Arkadją.

Pierwsze towarzystwo dla swego teatru zorganizował sam pan Sellin. Skład był dość liczny, wynosił do dwudziestu osób, między którymi było sporo takich, co się później wybiłi np. Cybulski, Konopka, Ortyński (baronowie Paessenbach), Karol Rychter, Delhau, Podwyszyński. Na inauguracyjne przedstawienie zagrano „Okno na pierwszym piętrze” Korzeniowskiego i „Błażka opełanego” Anczyca. Poza tym grywano dramaty, komedie i melodramaty jako to: „Krakowiacy i górale”, „Karpaccy górale”, „Maria Joanna”, „Zebra”, „Esmeralda” i „30 lat z życia szulera”. Pierwszy raz Łódź ujrziała drukowane afisze, które wykonała drukarnia łódzka Petersillego. Powodzenie teatru było średnie, strat znacznych nie było.

Trupa ta trwała w Łodzi do r. 1866. Przedstawienia dawano trzy razy na tydzień: we wtorek, czwartki i niedziele. W r. 1866 towarzystwo się rozproszyło. Przeważna liczba jego członków przeszła do Trapszy, który zbierał prowincjonalną trupę.

W r. 1867 Anastazy Trapszo odwiedza ze swoim towarzystwem Łódź, a byli tam niebylejący aktorzy. Widzimy tu Bolesława Leszczyńskiego, Henryka Grubińskiego, Rufina Morozowicza, Kremskich, Doroszyńskiego, Józefa Teksla, Chrzanowską, Laskowską, śpiewaczkę Bobrowską i wielu innych.

Trapszo bawił (w Łodzi) cały sezon zimowy, grywano dramaty, komedie, operetki, między innymi „Grochowy wieciec” i „List żelazny” Małeckiego, „Wasy i peruka” Korzeniowskiego, „Damy Polskie” Dmochowskiego i wiele innych. Repertuar był obfity. Trapszo starał się podążać za repertuarem teatrów warszawskich.

W tym czasie umarł w Łodzi znakomity tragic angielski Murzyn, Ira Aldrige, który

(4)

przyjechał na gościnne występy lecz zaraz na pierwszym przedstawieniu, grając Otella zabił się i zmarł na zapalenie płuc. Pochowano go na cmentarzu ewangelickim (przy ul. Cmentarnej), a brat artystyczna na wystawienie nagrobka urządziła koncert w roku 1885, z udziałem pp. Marcello, Wisnowskiej i Barcewicz, i dotychczas grób jego odwiedza.

Od r. 1867 do 1878 corocznie odwiedzały Łódź towarzystwa prowincjonalne: Trapszy, Łuby, Sarnowskich, Jaroczewskiego, Sikorskiego, Sulikowskiego, Zamojskiego, Fuchniewskiego, Grubińskiego i Czartoryskiego. Zazwyczaj inna trupa grywała w sezonie zimowym, inna zaś w letnim, gdy jednak w którymkolwiek sezonie zabrakło trupy, organizował towarzystwo — przedsiębiorczy zawsze Fryderyk Sellin, czy to sam, czy też na spółkę z Gaweckim i Sulikowskim i udawało mu się często zdobyć jakąś poważniejszą siłę dla swego teatru. Występowała u niego Adolfinia Zimajerowa, Czesława Czapska, Święcki, Zwoliński. Od tego czasu Łódź, szczególnie podczas sezonu zimowego, nie była już pozbawiona teatru.

W r. 1873 Sellin zbudował teatr letni, który otworzyło towarzystwo poznańskie pod dyktando Zamojskiego „Mazepa” Słowackiego.

Ponieważ budynek teatralny Sellina nie zadowalał publiczności, więc z inicjatywy i namowy Józefa Teksla właściciela posesji p. Herman Kern w roku 1878 wznosił na terytorium posesji hotelu „Victoria” gmach teatralny, który oddał do użytku Teksla, a ten zainaugurował teatr operą Dunieckiego „Paziowie królowej Marysieńki”, którą z przyczyn niezależnych od dyrekcji nazwano „Paziowie króla Henryka”. W trupie Teksla znajdowały się dobre siły, między innymi: Manowska, siostry Czapskie, Józef Prochazka, późniejszy bas warszawskiej opery. Teksel miał zamiar złożyć stały teatr w Łodzi i nawet towarzystwu swemu nadał za zgodą publiczności nazwę „Teatr Łódzki” i ta nazwa jest dotąd przywiązana do polskiego towarzystwa dramatycznego, występującego w Łodzi. Lecz wobec braku moralnego i materialnego poparcia Teksel nie mógł się długo utrzymać i już w roku 1879 puścił się na wędrowkę, ale przez kilka lat z rzędu corocznie w Łodzi przez parę miesięcy z towarzystwem swoim gościł. W zimie grywano w teatrze „Victoria”, a w lecie w teatrze Sellina, przy ulicy Konstantynowskiej. (Dziś Obrońców Stalingradu).

(dokończenie za tydzień)

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI

ANDRZEJ GRUN

